PRO CHRISTO

WIARA I CZYN

ORGAN MŁODYCH KATOLIKÓW — MIESIĘCZNIK

Redaktor STANISŁAW BEREZOWSKI

Wydawca: Stowarzyszenie Społecznego Panowania Najświętszego Serca Jezusa w Rodzinach Chrześcijańskich.

Redakcja i Administracja: Warszawa, ul. Moniuszki 3a

P. K. O. 10.115 Telefon 163-44

Biuro i telefon czynne w dni powszednie od godz. 10—12 i od 15—17

Rękopisów redakcja nie zwraca.

RELIGJA I MORALNOŚĆ

Pro Christo!

Żal mi ludu... Zajedź na głębię. .!

Jak żywy stoi przed nami Chrystus, patrzący z wysokości pagórka na tłum skłębiony na równinie, oczekujący na Jego słowo. Gnany głodem prawdy i uśmiechu boskiego szedł ten tłum przez dni kilka, szukając Wysłańca Bożego, zapomniawszy o zaopatrzeniu się w pożywienie. Był głodny, ale więcej jeszcze męczyło go pragnienie usłyszenia Mądrości Bożej i rozgrzania skostniałego w formule prawnej serca w jasności Promienia Bożego. „Żal mi ludu ..!—wyrwało się wtedy z głębi serca dobrego Zbawiciela... „bo są jakoby owce bez pasterza...!" I zaczął im mówić: „Zajedź na głębię"!—rozkazał kiedyindziej Piotrowi, swemu spadkobiercy przyszłemu, gdy „całą noc pracując" sieciami „przepisowemi" nic nie ułowili. Posłuchał wierny apostoł i sieci wyciągnąć nie mogli, albowiem rwała się od mnóstwa ryb złowionych.

O, gdybyż Chrystus stanął dzisiaj pośród naszych tłumów ulicznych, goniących jak i przedtem za prawdą, za miłością, biorących liczmany przydrożne i ułudne miraże za prawdziwe skarby, których pragnieniem wypełnione jest jego serce — bo

serce człowieka tem samem zawsze zostało i będzie — czyżby nie załamał rąk, jak ongiś, i nie westchnął ciężko z bólem Pasterza Dobrego:... „Żal mi tego ludu—albowiem gonią za śladem prawdy, łakną słowa nieśmiertelnego i pragną słońca dla swoich dusz i serc i męczą się w tej walce i szukaniu, a znajdują łachmany i strzępy w błyskotliwej teozofji doby dzisiejszej, w przeróżnych fantazjach i wymysłach swego bujnego i zawsze twórczego ducha, w których przebłyskują od czasu do czasu jak iskrzące djamenty i perełki bezładnie rzucone, okruchy prawdy bożej, resztki dawnej królewskiej szaty — ale cały ów płaszcz poprzednio królewski, dzisiaj podbity fałszywym maszynowym, tylko błyszczącym ułudnie jedwabiem i zszargany w kurzu i błocie przyziemnego biegu, upstrzony, rzuconemi bez smaku i żadnego poczucia piękna klasycznego, kwiatami również maszynowemi o krzyczących barwach, jak plamami brudno-jaskrawemi naruszającemi świętokradczo majestat relikwji świętej. Żal mi więc tego ludu, iż tak dawno nie spożywali strawy posilnej.

Zajedź na głębię, Piotrze, zajedź na głębię i wydobądź z niej pokarm dla mego ludu. Zajedź na głębię..! i niech jedzą i nasycą się dowoli, albowiem omdleli już w drodze ku mnie..!"

Oto ewangeliczna scena, zawsze ta sama, albowiem prawda i duch ludzki nie zmienią się nigdy z upływem lat i wieków całych.

Duch ludzki, niespokojny od zarania swego istnienia, szukający zawsze prawdy i serce człowieka, bijące ciągle jedynem pragnieniem, by spocząć kiedyś w promiennym uśmiechu miłości, nie spoczną nigdy, dopóki się nie nasycą całkowicie.

Suchy dogmatyzm religijny i przepisy prawne, choćby najbardziej mądre, nie zadowolą go całkowicie.

Szuka jasności i ciepła, wolności synów bożych pod rozsłonecznionem okiem Mistrza, którego wypatruje wszędzie, nie zdając sobie sprawy, iż On jest tuż wśród nich, obok nich — i patrzy...

I zaludniły się drogi i dróżki do przygodnych mistrzów, rozrzucających szczodrą ręką iskierki świętych prawd, wśród całych chmur piasku i kurzu, razem z plewą nieprzesianą, A ludzkość, jak ów syn marnotrawny, umierający z głodu duchowego wobec tucznych swych stad kultury i cywilizacji dzisiejszej, rzuciła się na tę strawę podwórzową, wchłaniając ją żarłocznie—z głodu, z głodu duszy, upominającej się o swoje

prawa nieśmiertelne, o prawdę i miłość. Bo stało się jasnem, że „nie samym tylko chlebem żyje człowiek...” i to mu nie da jeszcze nigdy poczucia sytości i dobrobytu.

A skutki tego okropne oglądamy na każdy dzień.

Niestrawny i sfałszowany pokarm, po pierwszem zaspokojeniu głodu, niszczy organizm, zamiast go wzmacniać, doprowadza do chorobliwych hallucynacyj i ekscesów psychicznych, albo w najlepszym razie z tem większą siłą domaga się zaspokojenia pierwotnego głodu, wzmożonego gorączką tyfoidalną zatrutych komórek i tęsknoty śmiertelnej po doznanych zawodach.

„Chleba naszego powszedniego daj nam dzisiaj, Panie!”—wyrywa się codziennie rozpaczny głos tłumu—„chleba dla duszy, dla umysłu, dla serca..!”

„Zajedź na głębię..!“—brzmi pełen współczucia i ojcowskiej troski odzew Mistrza.

„Męczysz się i bijesz skrzydłami, jak zamknięty w złotej klatce swobodny ptak, król przestworzy, albowiem widzisz tylko powłokę zewnętrzną moich prawd i stalowy błysk nieugiętego prawa, najwyżej suchą w swym formaliźmie dla oczu profana ceremonję kultu mojego. Ale ośmiel się spojrzyć w głąb księgi prawdy, wpatrz się w natchnione oblicze prawodawcy, ukryte za jego kodeksem — ujrzyj duszę, niezgłębioną i promieniejącą duszę mej nauki i mego prawa i mego kultu... Przełam twój naturalny strach przed wszystkiem, co nosi na sobie ślad autorytetu. Autorytet prawdy w jej duchu ukryty, jest sam duchem ożywiającym i oświecającym wszystko, a prawo—prawo miłości, bo takiem tylko może być prawo moje, jest tylko, poza swą z konieczności przybraną surową szatą trybunalską, promieniem nieskończonej mądrości, miłosierdzia i współczucia dla słabości ludzkiej Podejdź śmiało, bez trwogi, otwórz antyczną zimną oprawę księgi, podnieś wzrok ku mnie... i czytaj i rozmyślaj. Zajedź na głębię.... i niech głód twój się nasyci, a dusza cała opromienieje prawdziwą słoneczną jasnością bożą. Jam jest zmartwychwstanie i żywot... pokój wam, jam jest.., nie bójcie się”.

Bodajby się ziściły w pełni na każdym z nas święte i nieśmiertelne słowa Boskiego Mistrza. *Bohdan.*

DO APOSTOŁÓW SERCA JEZUSOWEGO.

(z kazań O. Mateo SS-cc).

Życie z wiary.

„Panie, przymnóż nam wiary!" [1])

Potrzeba wiary.

Podstawą działalności apostolskiej jest wiara.

O tyle przekonamy innych, o ileśmy sami przekonani. Kto zaś będzie przekonanym i przeświadczonym? — Ten i jedynie ten, kogo Jezus oświeca. Ten i jedynie ten, kto zna Chrystusa Pana. A zna Go poznaniem nie jakiemkolwiek, niewyraźnem, powierzchownem — ale poważnem, wewnętrznem, pełnem i głębokiem. Ten, i jedynie ten będzie miał przekonanie, komu Chrystus Pan raczył się objawić i kto się okazał uległym głosowi Jego. Albowiem sam tylko Jezus Chrystus powiedział—On jeden mógł powiedzić:

„*Jam jest światłość świata. Kto za mną idzie, nie chodzi w ciemności: ale będzie miał światłość żywota*" [2])

On jeden jedyny jest światłością, albowiem On sam jest Mądrością Bożą.

Mądrość ludzi, co tem imieniem mianują, o ile nie jest promieniowaniem tego Boskiego Słońca, nie wypływa z tej mądrości wyższej—szaleństwem jest tylko i ciemnościami. Jesteśmy zbyt uczeni, zbyt wiele rozumujemy. Potrzeba nam być mniejszymi o głowę. Mądrością najszczytniejszą jest mądrość wiary. Bardzo mądrym i bardzo uczonym jest ten, kto wierzy. Czego potrzeba w każdym czasie, a już za naszych dni w szczególności—to nie mądrych i uczonych według świata, polityków i myślicieli. Jeśli mądrość ich nie pochodzi od Boga, nie z Jego wypływa mądrości, lecz jest tylko owocem ich prac i doświadczeń i z nich samych bierze swój początek—na mało, albo i na nic się nie przyda.

Czy wiecie „czego nam potrzeba dla rozbudzenia świata?

„Dusz wiary, dusz świętych, promiennych i prostych!..."

Potrzeba nam proboszczów z Ars! Więcej oni zdziałają dobra dla społeczeństwa, niż uczeni i genjusze. Czemu? Albowiem będą mieć udział w światłości Bożej; rozleją po świecie

[1]) Łuk. XVII, 5. [2]) Jan VIII, 12.

światłość Bożą, Chrystusa Jezusa poza którym same złudzenia i mroki.

Widzicie, jak do was przemawiam: nie dysputuję, nie rozumuję, poprostu twierdzę. Czemu? czy dlatego, że na siebie liczę? Żadną miarą. Jestem przekonanym, —a zbrodniarzem byłbym gdybym mówił nie z osobistego przekonania—twierdzę, gdyż to co powiadam nie z siebie powiadam, ale Jezus Chrystus przeze mnie mówi; wiara mi wskazuje, co mam mówić!

Potrzeba żyć wiarą. Nie wiarą zwyczajną, ale *świetlaną i czynną*.

Najpierwszy tedy stopień życia nadprzyrodzonego to *duch wiary*. Potrzeba nam ducha wiary dla poznania Boga.

Bóg! Jezus Chrystus nam Go objawia.

„Nikt nie zna Ojca jedno Syn, a komuby chciał Syn objawić”.

Konieczną nam jest wiara, wielka wiara, aby wniknąć do Serca Jezusowego, do wnętrza tego Serca; aby znaleźć Jezusa nie umniejszonego, — wybaczcie wyrażenie — nie karykaturę, lecz Jezusa w całkowitem pięknie miłości Jego— *„we wspaniałości miłości Jego”*. Trzeba przeniknąć głębiej, niż włócznia Longina, aby móc zrozumieć światłość niepoznaną....

Czy świat Go przyjmuje, czy nie, Bóg jest panem! Naszym obowiązkiem jest pójść za Nim. *Służyć Bogu— to królować.* A ja powiem; że służenie Panu naszemu jest czemś więcej, niż królowaniem. Czemże jest bowiem królowanie? Jest to rządzenie stworzeniami, t. j. spełnianie dzieła, które nam pozostawia wszystkie nasze żądze duchowe. Ale służyć Panu to być panem Serca Jego, posiadać je wiarą.

Łaskę tę otrzymuje się w miarę, jak się czyni postępy w duchu wiary, w pragnieniu oglądania Boga, oglądania Jego samego. Kto przesycony jest tą światłością, nie potrzeba mu więcej niczego. Przychodzi chwila, że odpoczywa w Bogu, widząc Go, że tak powiem; wówczas pozostałe rzeczy, cierpienia, ofiary, prześladowania stają się drobiazgami.

Lecz kiedy i w jaki sposób uczy nas Chrystus Pan poznawać Boga?

W chwilach serdecznego zbliżenia się do Niego w czasie modlitwy.

Oto czemu nieucy według świata wiedzą częstokroć więcej w tym przedmiocie, niż uczeni. Przychodzi mi na myśl, jak w Lourdes zagadnął mnie pewien chłopek:

— Czy to Ojciec miał kazanie przed chwilą?

— Tak, to ja.

O, jakże piękne rzeczy Ojciec opowiadał: Jezus Chrystus Król miłości, Jezus król miłosierdzia! O, tak jest. Od dwudziestu lat przyjmuję codziennie komunję świętą, a w każdy czwartek odprawiam Godzinę świętą, i Pan Jezus wydaje mi się wciąż coraz więcej królem miłosierdzia i miłości. Od dwudziestu lat proszę Boga, aby dał poznać światu te wielkie rzeczy, o których dziś Ojciec przemawiał.

Słyszycie? Od dwudziestu łat prosił, aby głoszono o Panowaniu Serca Jezusowego.

— Kto wie, czy przed Bogiem nie ten prostaczek, nie ten biedak zapoczątkował nasze Dzieło?... Przez dwie godziny mówił mi z obfitości serca. Słuchałem wzruszony, zdziwiony: opowiadał mi rzeczy przedziwne, z teologji, która mnie wprawiała w zakłopotanie.

Opuszczając go rzekłem:

— Napiszecie do mnie i powiecie mi więcej jeszcze o tem wszystkiem.—Począł się śmiać.

— Napisać do Ojca, ja? Nie potrafię ani czytać, ani pisać!

— A gdzieżeście się nauczyli tych rzeczy, o których mi opowiadacie?

— Gdzie? Ojciec-kapłan pyta mnie o to? *On, Jezus* mnie uczy. Codzień przystępuję do stołu Pańskiego, codzień go przyjmuję; On mnie wszystkiego nauczył. On mnie kocha, ja Jego kocham, rzecz najzwyklejsza w świecie, więc też go rozumiem.

Wiara! Potrzeba nam jej, aby samych siebie poznać, nasze wady, nędzę, jak również i zalety, gdyż posiadamy je. Niewdzięcznymibyśmy byli, gdybyśmy zalet swych nie uznali, gdyż On-Bóg nam je dał. My jesteśmy nędzą. . naczyniami glinianemi. Lecz On z nieskończonego miłosierdzia swego umieścił w tych naczyniach skarby wielkie. Czemu? Iż tak chciał.

Potrzeba nam tedy światła silniejszego, niż światło ludzkie, dla poznania siebie samych prawdziwie, szczerze, bez pychy ani zniechęcenia. Wiara okazuje nam nasze wady, żądze, błędy i każe nam się uciekać do Jezusa Chrystusa po lekarstwo na nie. Wiara również daje nam poznać dary Boże w nas się znajdujące, oraz użytek, jaki z nich mamy uczynić dla spełnienia zamiarów Jego.

Wreszcie, potrzeba nam wiary, aby być *apostołami*, aby uznać prawa Chrystusa Pana i zwierzchnictwo Jego nad sobą, nad duszami. Jakże spełnimy powołanie swoje, jeśli wiara z pomocą nam nie przyjdzie?

A nie powiadajmy: gdybym miał zdrowie, majątek, gdybym miał czas, zdziałałbym wiele dla chwały Bożej i zbawienia dusz; lecz jestem chory, ubogi, zajęty...

Gdy Jezus postanowił zdobyć świat, czyż na apostołów wybrał uczonych, bogatych, ludzi cieszących się zaufaniem, wielkich według świata?

— Nie, wybrał ubogich, prostaczków, ludzi nieznanych. Za pomocą takich czynników Bóg dokonywa swych dzieł, tacy ludzie go wsławiają:

„*Maluczkich tego świata i wzgardzonych wybrał Bóg, i tych, których niemasz, aby zniszczył tych, którzy są*" — „*albowiem słowo krzyża tym, którzy giną, jest głupstwem: lecz tym, którzy zbawienia dostępują, to jest nam, jest mocą Bożą*" (1 Kor. 1,28; 1,18).

Tego rodzaju narzędzia prawdziwie wsławiają Go, albowiem oczywistem jest, że to On sam działa, a nie one. Czyż ludzkiem dziełem jest nawracanie dusz?

Świat jest pełen bibljotek, a bibljoteki pełne pysznych dzieł—które nikogo nie nawracają. Czy nawet czyta je ktokolwiek?

Nawracanie dusz jest dziełem Boga.

W niewiedzy naszej powodzenie przypisujemy widzialnemu narzędziu, kaznodziei.

O! tak, kaznodzieja!... A czy wiecie wy, kto jest istotnem narzędziem nawróceń?

Oto jakaś duszyczka nieznana, ukryta, nieoświecona, która się modli, cierpi i żyje wiarą... Oto narzędzie Boże.

Patrzyłem raz na nawrócenie, które nie może mi wyjść z pamięci.

Pewien nieszczęśliwy ojciec rodziny był bliskim śmierci. Powrócił do Boga z bardzo daleka; odprawiał swą pierwszą i ostatnią komunję świętą! a z nim razem przyjmowała Ciało Pańskie jego żona i dzieci. W kącie pokoju klęczała prosta kobieta, kucharka, która płakała ze wzruszenia. W tem powstaje, zbliża się do łóżka umierającego i powiada:

— Panie, oto przez lat dwadzieścia przyjmowałam codzień komunję świętą, błagając Boga o tę łaskę, aby pan nie umarł nienawrócony i bez odprawienia swej pierwszej Komunji św.

Zwycięstwo Serca Jezusowego! lecz za pośrednictwem tej pokornej niewiasty, która uwierzyła w miłosierdzie tego największego Serca i nie przestawała modlić się i ufać.

Na swej drodze apostolskiej znajdziecie nieraz jakby górę piętrzącą się przed wami, którą trzeba będzie z podstaw wyważyć. Kto dokona cudu! Kto jej rzecze: ustąp?... Nastręcza się tyle trudności, tyle przeszkód — jakoż im rzec: usuńcie się! — Jak?.. Wiarą.

Miejcie wiarę w tego, który powiedział: „Jam zwyciężył świat" (Jan XIV, 33). On zwyciężył świat! On go zawsze zwycieży! albowiem jest Wszechmocą Bożą... Miejcie wiarę nietylko w dniach zwycięstw — naówczas nie jest trudna — ale i w chwilach pozornych klęsk—pozornych powiadam, gdyż rzeczywiste nie istnieją: Zwycięstwo jest zapewnione! *Wielkie zwycięstwo Serca Jezusowego i miłości Jego.*

Kto posiada wiarę, ten nigdy nie popadnie w błąd.

Jeszcze macie łuski na oczach... Niechaj rekolekcje je zrzucą, niechaj całe rekolekcje wasze będą jednem *Wierzę.* Trzeba, abyście odchodząc stąd, *czuli potęgę Jego Serca.*

O kimże mielibyście powątpiewać?... O sobie? Ależ to nie o was chodzi. O Nim? Spójrzcie na Jezusa, i naprzód!!

Tłum. z franc. br. B. SS-CC.

O nasze dziejowe posłannictwo.

(dok.)

Ale rola Polski nie zmieni się i wtedy, kiedy runie potęga bolszewicka. Jako nowy wróg Zachodu wystąpi bowiem na gruzach bolszewizmu ideologja inna, krystalizująca się obecnie wśród emigracji rosyjskiej, w szeregach wrogiej bolszewizmowi młodej Rosji. Jest to t. zw. „eurazjanizm", prąd, dążący do całkowitej separacji Rosji — od granic etnograficznej Polski aż do cieśniny Berynga — od reszty Europy; według eurazjatów stanowi Rosja sama dla siebie jakby osobny Kontynent, o odrębnej cywilizacji i kulturze. Jest ta Rosja czemś pośredniem między Europą a Azją, jest „Eurazją", zbliżoną raczej do Azji aniżeli do Europy. Powołanie swoje widzą „eurazjaci" w obronie kultury wschodniej i prawosławia, w przeciwstawieniu się Europie. W owym entuzjazmie dla Wschodu posuwają się wielbiciele „eurazjanizmu" nawet tak

dalece, że zrywając z ideologją słowianofilską, szczycą się swojem pochodzeniem i charakterem turańskim. Polska wobec takiego sąsiada przyszłości musi sobie uświadomić, że będzie on dążył do zagarnięcia Ukrainy i Rusi Białej, że nasze kresy wschodnie staną się węzłem walk kultury i cywilizacji chrześcijańskiej z turańską. Naród polski zatem już dzisiaj widzieć może nowe pole, na którem trzeba będzie zadość uczynić swemu posłannictwu jako przedmurze chrześcijaństwa. Zarówno bolszewizm jak i „eurazjanizm"—to walka Wschodu z Zachodem, walka pogańskiej Azji z chrześcijańską Europą. Geograficzne położenie Polski zaś wymaga, by na jej terytorjum znowu starły się te dwie wrogie sobie cywilizacje i kultury.

Z tego pierwszego zadania i obowiązku Polski: stać nadal na straży chrześcijańswa i cywilizacji chrześcijańskiej — snuje Autor drugie zadanie: Krzewienie u siebie polityki prawdziwie słowiańskiej, zwłaszcza względem zagrożonych kresów wschodnich. Trzeba zrzec się tej zewnętrznej tylko polonizacji kresów, polegającej na przymusowem ich polszczeniu, a powrócić do idei jagielońskiej—„do duchowego przeobrażania tych krajów i zbliżania ich do Polski mocą wyższości cywilizacji, którą tam reprezentować mamy".

Wreszcie, jako trzecie zadanie Polski, uważa Ks. Urban podtrzymywanie wśród narodu idei papiestwa, idei katolicyzmu rzymskiego. Autor ostrzega polityków przed kumaniem się z prawosławiem, dlatego, że „władcy prawosławni gotowi są znosić nad sobą „oko" jakiegoś prokuratora rządowego, jak to było w Rosji, czego nie znoszą biskupi katoliccy". Gdyby czynniki rządowe liczyły na cerkiew prawosławną, jako na poddawającą się bardziej wpływom politycznym, o krok tylko stałaby Polska przed swojem zbizantynizowaniem, a do czego toby doprowadziło, o tem poucza nas Rosja, do upadku której w wielkiej mierze przyczyniło się właśnie prawosławie. To prawosławie nie cofnęło się nawet przed podawaniem ręki nowemu reżymowi ateistycznemu, błogosławiąc mu i nakazując służyć mu pod grozą ekskomuniki. W Polsce zaś, jako w państwie o kulturze zachodniej, prawosławie zawsze będzie się czuło obcem, bo Naród Polski, zrośnięty z Rzymem, nigdy nie będzie dlań gruntem podatnym do rozszerzania się. Stąd też będzie ono patrzyło w stronę Wschodu, ku „Eurazji", bliższej mu duchem od łacińskiej Europy. Jeżeli zaś chcemy zachować i zabezpieczyć sobie nasze kresy wschodnie, to

możemy to uczynić tylko przez ich katolicyzację, bo katolicyzm uczyni je dopiero europejskiemi. Dlatego „wzmacnianie katolickich placówek, zakładanie nowych, ofiarność z pracy i grosza dla zadań misyjnych na kresach,—kończy swój cenny artykuł ks. Urban—winny być uważane za najważniejsze z zadań naszego narodu. *Katolicyzacja Wschodu jest „wielką ideą" Polski"*.

Oto sąd jednego z najwybitniejszych publicystów katolickich o posłannictwie Polski współczesnej. Pozytywistyczny umysł autora „Przedwiośnia" potrafił tylko ręce załamywać nad brakiem idei i wołać: „Polsce trzeba na gwałt wielkiej idei!" Potrafił w najlepszym razie podsunąć jakieś materjalistyczne pomysły, któreby były zadaniem Polski dzisiejszej. „Niech to będzie reforma rolna, stworzenie nowych przemysłów, jakikolwiek czyn wielki, którym ludzie mogliby oddychać, jak powietrzem". Tak przemawia modernizm Żeromskiego, zapominając najistotniejsze cechy ideologji Narodu polskiego, o jego dziejowem posłannictwie jako przedmurzu chrześcijaństwa i kultury chrześcijańskiej.

Serce zaś Polaka-katolika umiało wniknąć w te naszą ideologję narodową i wskazać, co jest i być powinno ideą dla Polski. Rolę, jaką Polska odgrywała od zarania swych dziejów aż do grobu niewoli, a nawet po rozbiorach, stojąc na straży chrystjanizmu Europy, tę samą role i dzisiaj Polsce spełniać wypada, Jej położenie w świecie tego wymaga. Jako placówka chrześcijańska, najbardziej na wschód wysunięta, staje się Polska mimowoli, a raczej z racji woli Opatrzności, narzędziem w rękach Bożych ku odpieraniu wschodniego barbarzyństwa. Na błoniach Polski rozgrywały się i rozgrywać będą walki rozstrzygające dwóch wrogich sobie i przeciwnych światów. Naród polski piersią swą powstrzymywać musi napierającą Azję i być w ten sposób rzeczywiście przedmurzem chrześcijaństwa, obrońcą Europy. A jak dalece i dokładnie obliczona jest ta dla Europy zbawczej rola Polski, o tem świadczy Wiedeń za Sobieskiego, kiedy nawet na terenie obcego państwa Polacy właśnie zatamować musieli falę wschodniego mahometanizmu. Posłannictwo dziejowe Polski rozgrywa się przedewszystkiem na terenie religijnym, a następnie kulturalnym. Naród polski jako członek ludzkości ma cząstkę jedną z najszczytniejszych w przeznaczeniu realizacji Królestwa Bożego na ziemi. Jego zadanie streściło się zawsze w idei Chrystusowej. Przecież i szczytny tytuł „Polonia semper fidelis" nie stoi chyba oderwany od dziejowego posłannictwa Polski. Kto

chce szukać i wskazać Polsce „wielką ideę” musi się siłą konieczności trzymać na terytorjum *religji*, musi wychodzić z wspólnego wszystkim narodom obowiązku urzeczywistnienia Królestwa Bożego. Wszelkie dociekania materjalistyczne są tylko utopjami, niemającemi realnego podkładu ani w przeszłości ani w teraźniejszości. Religja zaś nietylko uzdrowi chory organizm państwowy, ale wskaże rolę i obowiązek, jaki w dziejowem hic et nunc spełniać trzeba.

Wielką ideą dla Polski współczesnej nazewnątrz, to Wschód, ten wieczny Wschód, który był zawsze celem i areną siły polskiej ideologji, polskiej misji dziejowej. Idea Polski nazewnątrz jest zawsze zwrócona w tym samym kierunku, jak wczoraj tak dziś, tylko że inne towarzyszą okoliczności. Na Wschód pro Christo—oto wieczne hasło narodu polskiego.

Jeżeli zaś chodzi o narodowy obowiązek w wewnętrznem życiu Polski, to chyba aż nazbyt wyraźnie wbija on się w oczy. Dziwna jakaś moc krępująca życie katolickie; panoszący się po kraju rosyjski nihilizm, który, jak wiadomo, przygotował rosyjską rewolucję, wreszcie obrzydliwa demoralizacja we wszystkich swych objawach — oto mordercy narodowego sumienia! Wyciąć te wrzody z organizmu państwowego, wyplenić wszelkie chwasty, przyoblec sie w szatę Chrystusową — to *wielka idea*! Chwyćmy się silnie pługa Chrystusa Pana, przeorujmy nim ugorem leżące pole—a wyrośnie *Polska prawdziwie Wielka.* A imać się tej pracy nad obudzeniem i rozkrzewieniem myśli Chrystusowej w swoim Narodzie, by ten Naród mógł spełnić swą cząstkę w realizacji Królestwa Bożego, a nie opóźnił się—musi każdy z nas, jako członek narodu. Odrodzenie ludzkości, odrodzenie narodu, rozpocząć trzeba od wewnętrznego odrodzenia samego siebie. *„O ile polepszycie i powiększycie dusze Wasze — polepszycie prawa Wasze, powiększycie granice Wasze”* — tych słów wieszcza nie zapominajmy nigdy, przenigdy. One nas najlepiej doprowadzą do spełnienia swego dziejowego posłannictwa; one płodzą wielkie czyny!

Polaku-Katoliku! Młodzieży polsko-katolicka!

„Idź i czyń! Czyń ciągle i bez wytchnienia, a przeżyjesz marnych, szczęśliwych i świetnych, a zmartwychwstaniesz nie ze snu, jako wprzódy było, ale z pracy wieków—i staniesz się wolnym synem niebios”.

A. F. Kowalkowski.

DYSPUTY.

Pokój duszy.

Pyt. Na czem polega prawdziwy pokój Chrystusowy („Nie jako świat wam daje — ja wam daję" św. Jan 14 : 27) i jak za łaską Bożą otrzymać ten dar nad Boże dary, jak go zachować i utrwalić w duszy wobec rozbieżnych duchowych usterek i męki nerwowego niepokoju?

Odp. „Pokój Boży", prawdziwy dar nad dary, upragniony przez każdego człowieka, choćby w sobie zagłuszył wszelkie ludzkie uczucia — bo niema ani jednej istoty żyjącej, którąby nie dążyła całą siłą swej natury do szczęścia zasadniczego, nie do jego iluzji, a pokój jest pierwszym tego szczęścia warunkiem— tak rzadko jednak, niestety, jest jego udziałem.

Pokój Chrystusowy polega na świadomości wewnętrznej sumienia, że jesteśmy na dobrej drodze i że nic nam nie zagraża w przyszłości, ani nie mamy żadnych bolesnych zobowiązań z lat ubiegłych.

Te trzy elementy muszą występować jednocześnie: wyrównana przeszłość, wyraźna teraźniejszość i pewna przyszłość naszego życia.

Wielką rolę odgrywają w tem warunki fizyczne życia, zapewnienie sobie i swoim najbliższym odpowiedniego bytu i środków do życia i do rozwoju. Ale nie jest to rzeczą istotną. Gdy zanalizujemy do głębi nasze pragnienie pokoju, znajdziemy tam tylko jedną zasadniczą troskę: o pokój sumienia własnego w stosunku do Boga.

Mamy aż nadto wiele przykładów znanych w historji jednostek, a i z własnego doświadczenia, że t. zw. „powodzenie w życiu" i dobrobyt niezawsze idą w parze ze spokojem duszy, gdy sumienie nie jest w porządku, a przeciwnie nieraz wśród bardzo ciężkich zewnętrznych warunków życia mamy w duszy wiele radości na samą świadomość, że bliscy jesteśmy Bogu i że czystem jest nasze sumienie.

Istotą więc prawdziwego pokoju duszy jest harmonja nasza z Bogiem, stosunek niezamąconej z Nim przyjaźni i świadomość pełna tego stosunku.

Występują więc tutaj w pierwszym rzędzie czynniki naszej świadomości, wypływające z poznania istoty Boga i naszego do

Niego stosunku, a następnie czynniki moralne, t. j. świadectwo własnego sumienia.

Ponieważ jednak życie duchowe, którego przejawami jest świadomość poznania i głos sumienia, jest najściślej związane z całym naszym organizmem fizycznym, a w pierwszym rzędzie z systemem nerwowym—trzecim czynnikiem, również w wielkiej mierze decydującym, jest stan naszych nerwów.

Biorąc więc hierarchicznie od dołu trzy są zasadnicze warunki pokoju duszy od nas samych zależne: nerwy, czystość sumienia i właściwe poznanie Boga.

Reszta zależy od łaski bożej, której zresztą Bóg *nikomu* nie odmawia.

Inne czynniki zewnętrzne, jak powodzenie życiowe, dobrobyt, zdrowie (poza nerwami), szacunek ludzki, dobrobyt ogólny kraju, czy całej ludzkości i t. p. w wielkiej mierze przyczyniają się do samopoczucia tego pokoju, ale nie są jego warunkami istotnemi.

Stąd wniosek, że burzycielami naszego pokoju ducha są: choroby nerwowe, wyrzuty sumienia i nieznajomość, lub fałszywe poznanie Boga.

Stąd drugi wniosek bezpośredni: jeżeli chcemy dojść do pokoju duszy, idźmy naprzód do dobrego lekarza i pod jego kierunkiem doprowadźmy do porządku nasz system nerwowy, następnie policzmy się z własnem sumieniem i przez dobrą wolę i środki nadprzyrodzone, które nam Kościół z ustanowienia Chrystusowego na każdy dzień podaje, uspokójmy je, oddając wszystko miłosierdziu bożemu, a następnie z całą prostotą i odwagą spójrzmy wprost w twarz naszego Boga, w Jego oczy, by tam wyczytać całą Jego istotę i znaleźć we własnej duszy oddźwięk głęboki i dajmy później działać w nas łasce bożej.

Choroby nerwowe są bardzo często przyczyną naszych niepokojów wewnętrznych. Nieuzasadnione obawy, idées fixes, które nas męczą stale, pewne wprost przywidzenia i hallucynacje, czy autosuggestje, słaba odporność zwojów mózgowych na pewne wrażenia zewnętrzne i t. p. zaburzenia nerwowe są bardzo często u najlepszych ludzi przyczyną bardzo bolesnych skrupułów sumienia, a nawet rozpaczy o zbawieniu.

Tutaj przedewszystkiem pomoc swą okazać musi fachowy psychjatra—pedagog, który zapomocą odpowiednich zabiegów lekarskich może uspokoić poszarpane ciężką drogą życiową ner-

wy. Jest to w tych wypadkach warunek konieczny, bo cudów w normalnych warunkach żądać od Pana Boga nie mamy prawa.

Sumienie — co do życia przeszłego — może uregulować (przy wyleczonych nerwach) dobra spowiedź generalna u prawdziwego ojca duchownego, który umie odczuć wszystkie bóle życiowe i zna to życie i jego tajniki doskonale.

Sumienie aktualne — mimo słabości i własności naszych — może utrzymać w pokoju nasza szczera, dobra wola, która dobremu Bogu wystarcza najzupełniej.

Punktem i warunkiem kulminacyjnym jest poznanie Boga takim, jakim On jest w swojej istocie i odpowiednie do tego ustosunkowanie się nasze.

Otóż, zaznaczyć tu musimy z całą świadomością tego, co piszemy i podkreślić musimy z całym naciskiem, że głównym powodem niepokojów naszej duszy jest nieznajomość Boga, albo fałszywe o Nim pojęcie.

Nie znamy Boga — powiedzmy to sobie zupełnie szczerze, albo znamy Go tylko ze Starego Testamentu, z góry Synaju, wśród ciemności, błyskawic i grzmotu piorunów, ogłaszającego swe dziesięcioro przykazań i boimy się Go panicznie, znosimy jako zło konieczne, którego uchylić niepodobna, a zapominamy o tem, że on jest tem Dziecięciem w żłobku betleemskim, tym Dobroczyńcą otaczających Go tłumów, Pocieszycielem matki płaczącej po stracie syna jedynego, Przyjacielem domu rodzinnego w Betanji, pieszczącym dziatki na swych rękach i przebaczającym bogobójcy-Judaszowi i niewiernemu Piotrowi, a wreszcie cichym mieszkańcem tabernaculum w najbliższym kościele, czy w ubogiej kapliczce.

Boimy się Go i drżymy przed Nim, jako przed Panem świata i Sędzią ludzi i aniołów, a nie umiemy Go kochać prosto i serdecznie, jako Ojca, Przyjaciela, Brata, Powiernika i Towarzysza życia.

Tu leży główne zło i najważniejsza przyczyna braku pokoju w naszej duszy.

Wiele się na to złożyło przyczyn: wychowanie religijne, owiane duchem okropnej herezji jansenistowskiej, która nam w ten sposób skarykaturowała Boga; pożałowania godne egzageracje niektórych kaznodziejów, gorliwych, ale nieludzkich, i nawet pewnych autorów rozpraw i książek ascetycznych; przykłady niektórych świętych, specjalnie powołanych do indywidualnego ich su-

rowego trybu życia, a niesłusznie podawanych, jako wzory ogólne do naśladowania; nieścisłe wyjaśnienia niektórych tekstów Pisma świętego; wspomnienie o winach poprzednich, wreszcie nieopanowany temperament i wiele, wiele innych okoliczności nieszczęśliwych wywołało te katastrofalne skutki dla biednych, skołatanych życiem ludzkich dusz.

O tem wszystkiem obszerniej pisać będziemy w najbliższych numerach „Pro Christo", będziemy prostowali niedokładne pojęcia i wyjaśniali właściwe pojęcie Boga.

Narazie polecić możemy przecudne o tem dziełko w języku francuskim: Ks. L. Garriguet'a, p.t. „Le Bon Dieu" (Paris 6e Bloud et Gay, 3 rue Garancière, 1927), które postaramy się omówić i rozszerzyć może na łamach naszego pisma.

Skoro się ma pojęcie Boga, jako Najwyższej Miłości, Nieskończonej Mądrości i Przedobrej Wszechmocy, wtedy budzi się w nas bezgraniczna dziecięca ufność w Opatrzność tego Dobrego Boga, który zna lepiej naturę naszą, niż my sami, lepiej wie, co dla nas jest dobrem, mocen jest wszystko uczynić, a miłując nas nieskończenie, pragnie dla nas jedynie dobra i szczęścia rzeczywistego.

Możemy się wtedy zdać zupełnie na Jego opiekę, czyniąc wszystko, co w naszej jest mocy, bez zbytniej troski o dalszy nasz los, za wszystko dziękując, choćby było przykrem, albowiem to wszystko jest zawsze od Dobrego Boga.

Przeszłość wyrównana w Jego Miłosierdziu, teraźniejszość i przyszłość w Jego miłościwem ręku, wieczność cała przejasna z Nim, z Jego promiennym uśmiechem otwarta na oścież—idziemy wtedy lekko, a z całą mocą pewności przed siebie, wiedząc nieomylnie, że nigdy zawiedzionymi nie będziemy.

A z każdym dniem, łaska działająca w nas nieustannie, odkrywa nam coraz więcej tajemnic Miłości Bożej, coraz jaśniej oświeca oblicze Boże i coraz ściślej zespala nas w jedną z Bogiem wolę i nieomal tchnienie... aż do kresu doczesności... by utonąć na zawsze w olśniewającem słońcu boskiej wieczności..

Zrozumiemy wtedy tych, którzy tak w Boga patrząc i z Nim współżyjąc, szli przed siebie z radosnem „Hosanna" w duszy i z uśmiechem, jak promień jasnym na ustach, mimo burz i kataklizmów życiowych, mimo złej woli ludzkiej — albowiem z Bogiem byli i Bóg z nimi. „Pokój wam—nie bójcie się—jam jest!"

Amicus.

MODLITWA.

Kiedy mi smutno, ciężko na duszy,
Kiedy tęsknota mnie trawi,
Jedna modlitwa mój ból zagłuszy
I od rozpaczy wybawi...

Gdy mnie ogarnie pragnień tysiące
Tych uczuć w piersi więzionych,
U stóp Twych składam modły gorące,
Pocieszycielko strapionych!

Ty, coś patrzyła w bólu zaklęta,
Na Syna Swego konanie
Użycz mi łaski Panienko Święta!
Nam, grzesznym, spraw zmiłowanie!...

Przed Twym obrazem kornie się chylę
I szepcę modlitwy słowa —
I wierzę—tęsknot i cierpień tyle
Ukoi Niebios Królowa!

I oto spokój do duszy wraca —
Modlitwa cudu dokona —
I miłe życie, pociechą praca,
Bo w Matce Boga — obrona!...

Stanisław Dmochowski.

BOHATEROWIE WIARY.

Ś-ty Wincenty á Paulo.

19 lipca.

Niema czystszej i większej radości, jak gdy się ma świadomość, żeśmy dobrze uczynili jednemu z braci naszych, żeśmy otarli łzę lub sprowadzili choć blady uśmiech na zbolałe oblicze cierpiącego.

To jest prawdziwe apostolstwo Chrystusowe, iść jako promień Boży jasny, słoneczny, jako refleks prawdziwego słońca—Boga i świecić, opromieniać i osłoneczniać wszystko dookoła. Jest to jeden tryumfalny pochód życia, w blasku czynnej mi-

łości, w aureoli głębokiej radości życia, jako uosobienie promieniującego na wsze strony dobra.

Ecce homo! — Oto prawdziwy człowiek, obraz i podobieństwo Stwórcy—Boga, taki, jakim był w pierwotnym przedwiecznym planie bożym. Bóg we wszechświecie — człowiek na ziemi —O Chrystusie powiedziano, streszczając Jego życie: „Przeszedł dobrze czyniąc, albowiem Bóg z nim był" (Dz. Apost. I).

Wśród ludzi, poza Chrystusem, trudno wynaleźć człowieka podobnego Wincentemu à Paulo, o którymby można było powiedzieć w całem dosłownem znaczeniu te same słowa. To też Stolica Święta, przez usta Papieża Leona XIII-go, ogłosiła go uroczyście za Patrona szczególnego wszystkich dzieł charytatywnych.

Życie jego—to jedno pasmo nieprzerwane dobrego czynu, od zarania aż do późnej, wiekowej prawie starości, na wszystkich podówczas dostępnych polach—tembardziej wielkie, że bez poprzedników, jako pionier miłosierdzia zorganizowanego.

Za młodu pasał Wincenty dobytek swego ojca ną łąkach południowej Francji, a przypatrując się cudom piękności natury, porywającej w swej prostocie kwiatów polnych i muszek swobodnie brzęczących w promieniach południowego słońca, kontemplował w nich ślad piękności bożej i zachwycał się dobrocią tego Ojca Wszechświata, który taką krasą okrywał skromne niezabudki, w rowach przydrożnych, w tęczowy kobierzec kwiecia łącznego na ciemno-zielonem, nieskalanem tle falistej trawy, choć nikt z ludzi ich nie zasiewał, ani hodował. Była to dla niego otwarta księga, głosząca na każdej swej stronicy szczodrobliwość miłosierną dobrego Boga.

Nauczył się tego później z pisanych książek, które go zresztą mniej zachwycały, bo nie były tak wymownemi, jak poszum łąk świeżych i symfonje ptactwa i owadów pod sklepieniem niebieskiem.

Został kapłanem, ale zanim rozpoczął swe apostolstwo, napadnięty przez korsarzy na morzu, dostaje się do niewoli tureckiej do Afryki północnej.

Nie zmartwił się tem zbytnio, bo wiedział, że każdą pracą Bogu służyć może i że wszędzie znajdzie dusze łaknące bożej prawdy. Swą cichością, uczciwą pracą i słodyczą więcej może niż krasomówczą wymową nawraca swego pana i przez

niego zwolniony udaje się z powrotem, drogą na Rzym do swej ojczyzny Francji.

Jest wzorowym proboszczem i z tego stanowiska zostaje przez króla powołany na najcięższą może służbę kapłańską: na kapelana największych zbrodniarzy i wyrzutków społeczeństwa, skazanych na galery.

Odtąd rozpoczyna Wincenty swój publiczny tryumfalny pochód miłosierdzia chrześcijańskiego.

Trudno wyliczyć wszystkie jego dzieła, genjalną inicjatywę, bohaterskiego ducha wiary, gdy z próżnemi rękoma, ubogi i prosty szedł w świat, do ludzi, do największych brudów moralnych i z niezmordowaną ofiarnością, jak promień słoneczny czysty a gorący, z uśmiechem na ustach rozjaśniał mroczne zaułki, jaskinie zła i jak śmierć smutne serca i dusze...

A był to wiek XVII-ty, który Francję całą pokrył pożogą, zgliszczami i nienawiścią bratnią wojny religijnej.

Poza ukochanymi galernikami... jeńcy w tureckiej niewoli, sieroty opuszczone, młodzież na wszelką zarazę moralną wystawiona, kobiety upadłe, podróżni bez dachu, artyści złamani życiem, obłąkani, żebracy, zakonnice wygnane ze swych klasztorów przez wrogów Kościoła, wszelkiego rodzaju ofiary wojny i zbrodni ludzkich... wszystko to było jego „rodziną".

Nie mógł sam podołać zadaniu — brak było pracowników, a ci którzy byli niezawsze stali na poziomie swego powołania. Skupia więc obok siebie gromadkę dusz wybranych. Zakłada naprzód Zgromadzenie Misjonarzy, których kształci i rozsyła nie tylko na Francję, ale i na całą Europę, aż do odległej Polski. Buduje seminarja duchowne, przygotowuje nowe zastępy kapłanów, organizuje rekolekcje i domy rekolekcyjne, zgromadza pobożne niewiasty, ożywione duchem miłosierdzia i formuje pierwsze bohaterskie szeregi swych do dnia dzisiejszego najgorliwszych współpracownic, Szarytek.

Powołany przez królową Annę Austrjaczkę, matkę Ludwika XIV-go do „Świętego Kollegjum", czuwa nad obsadzeniem stolic biskupich godnymi apostolskiej władzy ludźmi.

Stał się tytanem pracy i wielkorządcą, dyktatorem duchowym Francji, ale gdy dwór królewski witał go głębokiemi pokłonami, on, skromny „Monsieur Vincent", przechodził przez wspaniałe sale w swej zniszczonej sutannie czarnej, nie widząc

nikogo i nie czując blasku swej władzy. On myślał tylko o tych, którzy miłosierdzia potrzebowali.

I tak, aż do lat 85-ciu, prawie bez snu, bez pokarmu, bez ciepłego odzienia... a zawsze z uśmiechem i duszą przepełnioną radością. Szukając oczyma tylko, gdzieby mógł przyjść z pomocą—rozdając na prawo i na lewo skarby swej wielkiej, promiennej duszy i te liczne blaszki złote, które, oceniane na miljony, przesuwały się przez jego błogosławione ręce, a on w nich widział jedynie chusty do otarcia łez cierpiących i granit do budowania dzieł Bożych. . aż „wszedł do radości Pana"... roku 1660-go.

Oto człowiek... święty, bo doskonały, bo prosty, bo niezrażający się brudem życia, bo opanowany jedną ideą, skoncentrowawszy na jednej chrystusowej myśli, która się stała jego powołaniem: by iść, czyniąc dobrze.

Nie zrozumiemy nigdy, w jaki sposób jeden człowiek, tak skromny i prosty, mógł dokonać tych wielkich, wiekopomnych dzieł, które do dnia dzisiejszego poruszają świat cały i wywołują szczery podziw nawet u nieprzyjaciół Krzyża, jeżeli nie wnikniemy w duszę tego człowieka.

Idea jedna, centralna, syntetyczna jego życia, zaczerpnięta z głębokiego zrozumienia Boga, jako Miłości zawsze twórczej i Chrystusa, jako ofiary bezgranicznej tej miłości dla ludzi, oraz z poznania wielkości duszy nieśmiertelnej człowieka, choćby on był wyrzutkiem społeczeństwa, okrytym najwstrętniejszym łachmanem wszelkich występków... oto klucz do tajemnicy duszy Wincentowej.

Gdy to stanęło mu jasno przed oczyma, gdy uświadomił sobie, że jest małą kruszyną wszechświata, która ma jednak w sobie iskrę tej nieśmiertelnej miłości, gdy za jedyny kres dla siebie postawił Wieczność Przejasną u stóp Dobrego Boga—przekreślił jednym gestem całe swe życie doczesne, z jego radościami i bólami, dobrobytem i nędzą, chwałą i wzgardą i rzucił się na oślep w zburzone fale ludzkości, chwytając wszystko po drodze, nie patrząc c , mu tchu starczy i kiedy go fale zaleją—albowiem w nim do (nało się już wszystko u progu tego życia.

Nie było dla niego dnia i nocy nowych, bo wszystko stało się jednym wielkim dniem pracy i ofiary, w promieniu uśmie-

chu bożego, z jedną myślą i uczuciem: „dla Ciebie Boże i dla nich, biednych ludzi!"

I rósł, rósł, szedł przed siebie coraz szybszemi, coraz większemi krokami, nie oglądając się nigdy wstecz, nie rachując zwycięstw i porażek... biegł w końcu, aż świat cały prawie pokrył płaszczem miłosierdzia Bożego i aż zajaśniało wielkie słońce nad biedną, stężałą z bólu i zmartwiałą w rozpaczy ludzkością.

Tak promienie boże, subtelne i jakby nieuchwytne, ale gorące żarem Miłości Przedwiecznej, roztapiają największe wały lodowcowe i wydobywają hymn życia z uciśnionej niemi ziemi, która pod tchnieniem dobroczynnego słońca staje się ogrodem pełnym barw i tonów, gdzie przedtem była martwa cisza śmierci moralnej i hańby fizycznej.

Ah! Monsieur Vincent!.. — kto dzisiaj pójdzie za Tobą...!?

T. P.

Ś-ta Marja Magdalena.

22 lipca.

I ona była promieniem bożym na ziemi.

Magdalena—kto o niej nie słyszał? ilu o niej pisało, kreśląc w jaskrawych barwach jej życie tak bogate i pełne wszystkiego, co ludzkie? A kto przejrzał jej duszę? Ilu było i jest takich, którzy, jak ów faryzeusz, zaprosiwszy Jezusa na ucztę, widząc, jak Mistrz pozwala jawnogrzesznicy obmywać nogi łzami pokuty i miłości, myśli z nim razem: „Gdyby był Bogiem, wiedziałby, co zacz ta niewiasta, iż jest grzesznicą..!"

Wiedział o tem Chrystus, ale wiedział jeszcze więcej, czego nie rozumiał obłudny faryzeusz, że „wiele jej przebaczono, albowiem wiele umiłowała".

Miłość — oto dusza Magdaleny. Natura jej bujna, fantastyczna, typowo wschodnia, pod gorącem niebem Palestyny rozbudzona i rozkołysana mesjańską poezją miłości bez granic, żądna wstrząsów, piorunów i błyskawic, wyładowania wszystkich niemych tajemnych mocy przestworzy i własnej przepastnej, nieśmiertelnej duszy, porwała ją swym pędem niepowstrzymanym i rzuciła na arenę życia w wir bacchanalij i na spienionych grzbietach rozszalałego żywiołu wałów morskich, miota-

nych huraganem na oślep pędzącym i rozbryzgiwanych z rykiem nieopisanym w tysiące i miljony pereł u stóp granitowych raf oceanicznych.

Szalała życiem, bo szalała w niej miłość, żądza miłości... ta moc boża najwyższa w człowieku...

Zrazu jako potrzeba zmysłów, wołających, krzyczących o strawę codzienną — aż do upicia się, aż do szaleństwa — później, gdy oczy jej utonęły w spojrzeniu Przedwiecznej Miłości — jako już beznadziejny szał miłości nadprzyrodzonej — „wiele umiłowała...!"

Ktoby raz, jak Chrystus, spojrzał w duszę jej, spragnioną i łaknącą aż do omdlenia miłości—ten nie potępi nigdy Magdaleny grzeszącej, jak jej nie potępił Chrystus, ten nie odtrąci jej od nóg Mistrza, jak On jej nie odtrącił, ten zrozumie wszelką miłość i tę ludzką i tę boską w duszy — albowiem ta jest najwyższa moc boża... miłość.

Ta sama miłość, która rzucała Magdalenę w upojenie zmysłów, rzuciła ją do stóp Chrystusa, do podnóża Krzyża Kalwaryjskiego, do pustelni marsylskiej później i wprowadziła ją w tryumfie na wieczne gody Baranka bez zmazy w bezkresach niebieskich. „Utracona drachma zwrócona została do skarbca królewskiego i perła po zmyciu błota, które do niej w wirze życiowym przylgnęło, jaśnieje teraz ponad gwiazdy niebieskie, zwyciężając swym blaskiem ich jasność przyrodzoną"—śpiewa o Magdalenie Kościół w swym hymnie pochwalnym.

Wczuć się w jej duszę, rozdygotaną głodem nieskończonej miłości, choć błądzącą po ludzku, ale zawsze boską, oddającą się namiętnie naprzód wszystkim, którzy, jak myślała, mogli dać ulgę jej tęsknotom i szałom, a później przywiązana całą swą huraganową duszą, oczyma, całą swą istotą do osoby Jezusa, rozpaczającą aż do utraty zmysłów po Jego odejściu tragicznem, a potem, gdy już na ziemi nie miała godnego swej miłości przedmiotu, oddaną kontemplacji, trawioną gorączką przejścia choćby gwałtownego w te zaświaty, które zakryły jej na chwilę oblicze Ukochanego, twórcy jej nowej duszy, Mistrza, który jej wskazał miłość nieśmiertelną—wtedy zrozumiemy, iż „Marja najlepszą cząstkę obrała, która od niej nigdy odjętą nie będzie..."

Nie złamał Chrystus jej miłości — ale jej wskazał drogę, umocnił, rozżarzył do białości i rzucił w nieskończoność słoneczną, która ją nasyciła aż do dna, na wieki.

Oto Mistrz—i oto służebnica godna. *T. P.*

Na głębiny.

Dwudziesty trzeci maj.

Wiadomo w Polsce, iż 3-ci maj jest świętem narodowem, że 4 lipca Stany Zjednoczone swoje święto obchodzą, iż 14-go lipca gra się Marsyljankę na cześć święta francuskiego, a już 11-go listopada obchodzi się Zawieszenie Broni. — I tak jak namnożyło się obecnie mnóstwo tytułów skróconych, literowych urzędów, w których nazwie pisanej ani jednej niema zgłoski, podobnie namnożyło się wiele najrozmaitszych świąt cywilnych, obchodów, uroczystości. Wystarczy już tylko datę podać, by wyłoniły się dla nas znaczenia. Nowy to kalendarz, więc pytam: cóż zacz ów 23-ci maj? W tym kalendarzu bowiem go nie znajd iesz.

23-ci maj zdarza się co roku, rok rocznie od wieków, odkąd maj istnieje. Lecz w piętnastym stuleciu, w 1498 r. specjalnego nabrał on znaczenia. We Florencji, bowiem, w dniu tym spalono zwłoki powieszonego na rusztowaniu Savonaroli. Do dziś dnia zachowało się święto, obchód, pamiątka dnia tego i do dziś dnia imię Savonaroli potężne budzi echo i w umysłach i w sercach, w historji i w Kościele, tak potężne nieraz, iż o ostatecznem opromienieniu aureolą tej niezwykłej myślano postaci, myśli się nawet jeszcze (Patrz Memorie Domenicane 1912 po włosku).

Przed obrazem Savonaroli zwykła się była modlić święta Katarzyna Genueńska i nie miano jej tego za złe w jej procesie kanonizacji.

O zwycięstwo Savonaroli podczas procesu rehabilitacyjnego, mianego w XVI-ym wieku w Rzymie, modlił się gorąco i kazał się modlić św. Filip Nereusz i zwyciężył.

Św. Paweł od Krzyża w XVIII-tym stuleciu, wieku służalstwa i dworskiego pochlebstwa, zaniku wszelkiego zmysłu prawdy, modlił się do Savonaroli. W XVII-tym znów wieku malowano go aż w Bawarji na kościelnych, klasztornych murach, opromienionego blaskiem błogosławionych i czas długi wśród Dominikanów Florenckich utrzymał się zwyczaj godzinek na jego cześć.

Nie inaczej zresztą jak Venerabilis, „czcigodny" piszą dziś o nim w kronikach Zakonu *).

* * *

Złość 18-go stulecia przeciw fanatykom, to jest dla pisarzy ówczesnych, ludziom głęboko i prawdziwie wierzącym, przeszła i na Savonarolę Został on uklasyfikowany przez umysłowy katalog ogólności jako fanatyk. Pod tem mianem dostał się do opisów, historji, ba nawet podręczników niektórych. Co smutniejsza, stał się fanatykiem i dla nas, synów Kościoła. Zaszkodziły mu zakusy protestantów, którzy gwałtem w wielkim zakonniku chcieli upatrzyć kogoś ze swoich, drugiego Hussa, przed-Lutra i na pomniku Lutra śmieli go umieścić. Jakże dalekie jednak od burzeń i bałwaństw Reformatora Wittemberskiego gorące umiłowanie Kościoła przez florenckiego reformatora, co zamyka wielki okres świętych reformatorów średniowiecza i toruje sobą drogi odrodzeniu katolickiemu XVI-go wieku! „My wszyscy z Niego" pisał o Mickiewiczu Krasiński; o iluż potężnych mężach historji możnaby te słowa powtórzyć, stosując je do Savonaroli.

Nie jest naszym zamiarem kreślić tu sylwetki brata Hieronima z Ferrary, Zakonu Kaznodziejskiego. Chcieliśmy wspomnieć go tylko w tym kalendarzu historji, jakim jest czas i rzucić nieco myśli stosownych dla uczczenia jego pamięci.

* * *

Gdy mu mówiono o zabiegach około możliwej kanonizacji Savonaroli cieszył się z tego i do tego zachęcał kardynał Ferrari, świętobliwy poprzednik Piusa XI-go na medjolańskiej stolicy, a Ferrarego samego chcą beatyfikować. Gdy o Savonarolę pytano Piusa X-go i on o kanonizacji coś wspominał, a kanonizacja samego Piusa X-go chyba na niedalekim widnieje już widnokręgu. Dobre to znaki, bo według przysłowia „powiedz mi do kogo chodzisz, a powiem ci kim jesteś": coby tu przełożyć można „podobny jesteś tym, co cię kochają". Jeśli kandydaci na ołtarze kochają Savonarolę, jeśli kochali go święci, znać z ich jest towarzystwa. Ale wśród tych głosów niedawnych, znalazł się i inny głos; głos słynnego uczonego. Właśnie specjalisty od Lutra. Miał on się wyrazić szyderczo, powątpiewająco, że „gdy Joanna d'Arc zdoła na ołtarze się wedrzeć, przyjdzie wówczas czas i na Savonarolę".

---

*) O kulcie Savonaroli patrz również Schnitzer, Savonarola t. II. Z dziełem tem zapoznał się autor już po napisaniu niniejszego szkicu.

Nie myślał ów historyk, iż tak prędko wykona się pierwsza część jego sądu, Joanna d'Arc bowiem już święta, a medal bity przez Benedykta XV-go na jej cześć, zdążył już towarzyszyć i przewodniczył czynom Hallera na froncie 1920 roku. Zda się więc i czas na Savonarolę... Ale nie o to nam tu chodzi, lecz o owe skojarzenie imion świętej Dziewicy Orleańskiej z imieniem Florenckiego Dominikanina. Słuszność bowiem wielką miał Grisar (boć to on miał tak się odezwać), gdy niechcący i w innem zgoła mniemaniu, pozbawieniem życzliwości, zestawiał Joannę d'Arc i Savonarolę. Doprawdy, zestawić ich trzeba. A zestawienie to zrozumiemy na tle ich wieku.

* * *

Dziwny to wiek ów wiek piętnasty. Otwiera go Wielka Schyzma Zachodnia, czarna kościoła żałoba, zdobi Unja Florencka, a zdziwienie w nim wywołują i nieokreślone uczucia owe bazylejskie debaty, po których do dziś dnia kilka polskich grobów w dawnym kościele Kartuzów bazylejskich się dochowało. Dalej znaczy XV-ty wiek swą smugą gwałtowną, krwawa i złowroga Warna oraz upadek Konstantynopola. U zachodu znów lat jego ozdabia Ameryki odkrycie. Wiek ruchów wielkich, przetworzeń, wiek w którym kształt swój zmieniać już poczyna odwieczna Bazylika Apostoła Piotra w Rzymie, zanim niebawem runą jej pierwotne, konstantynowskie mury. Symbol to wielkiej odmiany. Zarysowują się też coraz wyraźniej, coraz to dalej wysuwane są przyczółki kościołów narodowych. Pragmatyczna Sankcja we Francji, ledwie Joanna zginęła, na przyszłe tory Anglji arcychrześcijańskie wiedzie królestwo. A podobnie gdzie indziej się dzieje. Ostatnie rycerstwo zbiorowe dawnego Chrześcijaństwa, Zakon Krzyżacki, legło skrzywione i skrwawione, zwietrzałe, nędzny wiedzie jeszcze lat kilka żywot, nim spełni się w Zakonie i nad nim Apostazja Wielka, niewinnie Sekularyzacją nazwana. Królowie dumne a skąpe wysuwają lica: władać chcą samowładnie, na rzymskiego prawa papierach oparci i posiadać, posiadać, wszystko posiadać. A lud? Traci swe życie i mienie i posiadać chce również, wzamian wolności, uciechy, kaźnie i zmory. Piętnasty wiek bowiem, to wiek krwi i błota, wiek uciech, pijatyk, chorób obrzydliwych i wyuzdania, wiek straszliwych katowań i zbrodni, wiek wycia i stosów, wiek strachu i ciągłej myśli o niechybnem, stanowczem upadku ludzkich sił moralnych. Widać, że idą czasy nowożytne. Grzech pierworodny wyolbrzymia się

ponad naukę Kościoła w wyobraźni tego wieku i pełno jego wyobrażeń w ówczesnem malarstwie; pełno myśli straceńczych i odmętów ostatecznych, przerywanych głuchemi zatapianiami się (boć wiek ów wierzy jeszcze) w sine rany Chrystusa na Krzyżu lub w Grobie. Stale wiek ten mówi o Bożej Krwi i Męce jak żaden wiek przed nim. Jest to wspaniałe i płomienne. Jest to najjaśniejsza może strona wieku. Ale w tem nabożeństwie jest coś w rozpaczy. Tak kończy się Średniowiecze w zaraniu dziejów nowożytnych, Średniowiecze to jest marzenie, iż choćby przemocą da się przecie z odkupionych ludzi, przez Kościół—zrobić Raj na Ziemi. A odpowiedź brzmi na to: „Nie, raju nie będzie, choćby z Odkupionych; raju na ziemi nie będzie nawet przez Kościół. Muszą się wprzódy odbyć czasy miary i wypełnić ludzkość aż do pełności lat Chrystusowych” (św. Paweł). Doskonałego wymiaru „cywilizacji chrześcijańskiej” być w czasie nie mogło i musiało się w błocie topić Średniowiecze — bo i ono ludzkie. Lecz niezwykłych szereg postaci dał tym czasom Bóg, bo Bóg dał był już światu swój Kościół, postaci Proroków, wojowników anielskich, tytanów jak ze St. Testamentu, bo czasy były ostatnie.

* * *

Przypomina ówczesnym tę prawdę wieczną o Sądzie św. Wincenty Ferreryusz, dominikanin hiszpański, który po zgasłej niedawno swej zakonnej siostrzycy św. Katarzynie Sieneńskiej, owej Joannie d’Arc Rzymskiego Kościoła, Różczkę Cudowności w swe ręce bierze. W Vannes w Bretanji, gdzie spoczął, nie byłem u jego grobu, jak byłem w Rzymie u tamtej grobu, lecz byłem choć na miejscu jednem, gdzie przeszedł. I według kart mu współczesnych, zachowanych w bibljotece pewnego franciszkańskiego klasztoru w Szwajcarji, choć rąbek mowy jego słyszałem. A zajmują się dziś nim bardzo *). „Anioł Sądu", jak go nazwano, siał cuda i zbierał ludy na wspólną kaznodziejską wędrówkę o ostatecznym Sądzie, o tem, że doskonałej cywilizacji na świecie tym nie będzie, że ów postęp „chrześcijański" nawet, o którym mowa była, ograniczony i że spełniają się wciąż straszne Sądy Boskie w historji, aby nas zaprawić do tego Przyjścia Obrachunku, które każde pośrednie przyjście Pana w dzie-

*) Patrz Pierre Gorce. Saint Vincent Ferrier, Paris, Plon, 1922. I tę pracę poznał autor po napisaniu swej pracy.

jach świata, zapowiada, zwiastuje, poczyna nie ako. Czas więc się stać ludźmi bezczasu, jeśli nie chcemy, by kres wszystkiego już zaraz nastąpił i by darmo na ziemię wylała się ta Krew Chrystusowa, o której tyle wówczas mówiono. „Nowe boje wybrał nam Pan"—miała powiedzieć później św. Teresa od Jezusa, również hiszpanka. Owe boje zwiastował Ferreryusz. Pierwszy on z tego wawelskiego pochodu gigantów XV wieku. Pochód ów poczyna się w czasie Wielkiej Schyzmy, a ledwo ustępuje z widowni Ferreryusz, Joanna d'Arc *) powstaje, za nią inni, by wreszcie podać dłoń znów dominikanowi, prorokowi, zwiastunowi burz, grzmotów i nadziei, Savonaroli, co wiek ó v dziwny zamyka, podczas gdy się Kościół przeciw Aleksandrowi VI burzy.

Pomiędzy Joanną a bratem Hieronimem dwie szarobiałe zjawiają się postacie św. Franciszkanów: Bernardyn ze Sieny jak ze Sieny była Katarzyna i Jan z Kapistranu, ów Jan co niewiedzieć już którym z rzędu św. Janem miał zostać w kalendarzu. Nie brać Imienia Bożego na darmo — głosi Bernardyn, ów Apostoł Imienia Pańskiego, po którym tyle a tyle pozostało na starych murach miast i starych domach Chrystusowych herbów. Nie na rządy świata imię to tylko obracać, wyrwać się z doczesności pragnień i myśli, a pokój społeczny założyć w miłości, która cywilizację możliwie trwałą czyni jedynie: tak mówił społeczny, ludowy kaznodzieja, co cieniem Ferrerjusza kroczy zbierając miłości owoce z jego pokuty i nauk. Syn jego z ducha, Kapistran, co aż do Polski idzie i serbskiego Belgradu broni, co świeci w starej figurze na Rynku krakowskim i tuż od Wilanowa w kurytarzu Czerniakowskiego widnieje kościoła i w Wiedniu, jako głaz kamienny z głazowej kancelicy, z żelazną w ręku chórągwią kazanie jeszcze głosi, wojną pokrewny Joannie już bardziej. Sieneńczyk idzie prostotą, ten mieczem. Miłość czynną jest bowiem aż do walki i walką jest ten świat aż do Sądu: Tak Apokalipsa głosi. A za Joanną, tuż obok Savonaroli św. Franciszek à Paulo, co żyje tylko unicestwieniem w swych kalabryjskich górach, gdzie marzył Joachim z Flory i gdzie rozpościerały się dumne wyskoki Fryderyka II, Franciszek à Paulo, Elizeusz lat dawnych, bez którego króle spokojnie umierać nie mogą — oto galerja wieku tego, galerja mówców, mówców do tłumów, poza wszelkie szranki, postaci jak z Objawienia św.

*) O Joannie pięknie pisał Anglik, Andres Lang.

Jana, Michałowych rycerzy a wszystkich ich kończy i zamyka Savonarola. Lecz na czoło wieku tego Ferreryusz, Joanna i On się wydzierają.

* * *

O sprawiedliwość dla Boga walczy Ferreryusz, o sprawiedliwość dla ludu Bernardyn, o wolność narodu Joanna, o wolność Kościoła Kapistran, o pokój dusz ludzkich Franciszek pustelnik, o wszystko to razem brat Hieronim, nie kanonizowany jeszcze z nich jedyny już tylko. Objawienie spełnia Wincenty Ferreryusz, objawienie miewa Joanna, z nich poczyna i żyje i słyszy głosy, co z nią rzeciwiściej rozmawiają, niż ziemskie osoby z nami. O spełnienie objawień woła Savonarola, niemi i on żyje i on je miewa i on głosy słyszy, a jeśli nie miecza się ima, jak Joanna, to jednak „o mieczu co tuż, tuż już wisi" w swych kazaniach głosi. „ Gladius Domini cito et velociter". I on typ michałowy; archanielskimi Joanna, Wincenty. Nie dziw więc iż Hieronima z Ferrary czcił i kochał i duszę jego wymalował inny Michał, sztuki archanioł, Buonarotti-Dante. Postacie to Sybill i Proroków, postacie sądu ostatecznego i zgiełku, co pokój dawa i z odwiecznego rodzi się Pokoju. Pokój ten w swej mądrości drogi wyznacza jednostkom i narodom. O myśl tę Bożą w historji, aż się skończy historja, a myśl się wypowie do kropki, dbała i walczyła Joanna. Wystąpiła w jej imię. Udowodniła jej istnienia w tym XV-ym wieku, gdzie chwiało się wszystko, a gdzie jednak Francja zostać miała nadal wolną, by pozostać katolicką nadal w wieku XVI-tym, podczas gdy dawna współzawodniczka jej Anglja, idąc Francji własnym lecz ostatecznie dociągniętym śladem, swój kościół anglikański w krwawej burzy stworzyła. Joanna kraj jeden od apostozji obroniła; Savonarola znaczną połać dusz i krajów obronił może duchem. Obronił bowiem godność jeśli nie Kościoła zawsze niepokalanego, to wiernych i kapłanów, którzy widocznie ten Kościół tworzą. Było to snadź jego przeznaczeniem. O spełnieniu się swego własnego przeznaczenia walczył Savonarola. Wiedział iż przeminie, lecz jako świadek. A prorocy czyż to nie świadkowie tajemnic Bożych? Wszyscy zaś oni razem, ci święci XVI-go stulecia, to wyobraziciele wolności chrześcijańskiego ducha, co w nich zajaśniał po raz ostatni może w tak silnej mierze swobody, zanim go inne niż dawniej, u Rzymian, nowożytnej cywilizacji właściwe nie spętają tak zwane konieczności i katakomby. Wszyscy oni wspólnie tą swo-

bodną żyją wolnością w posłuszeństwie planowi boskiemu, kłam desperacji wieku swego zadając i jego nurzaniu się w otchłaniach zwątpienia, uciechy i złowróżbnych wybryków. Skądże ta wolność, jeśli nie z pewności spełnienia ale innego niż duch wieku pragnie? Wszyscy więc oni z zapowiedzi Ferreryusza idą każdy na swój sposób, lecz godnie pierwszemu odpowiada Savonarola. A tymczasem powstaje świat nowy, świat przepychu i sztuki antycznej, malarstwa, trucizny, jedwabi i makat, złota i pereł i rzeźby i kuchni wytwornej i wierszy i pałaców i kopuł, świat zgoła inny, w którym świat chrześcijański się dowie, iż wypełniwszy się do syta, do pełni ust nieledwie starożytności życiem, odnowić starożytności jednak nie może, bo przepadła na zawsze, choć żywie pogaństwo, bo Sądy świata kto inny objął i „wyrzucony już jest Pan świata tego”.

Spełniły się groźby, proroctwa Savonaroli. Spełniły się, zaledwie on zginął. Umarli ci, których śmierć głosił, jeszcze za życia jego; przyszedł huragan wojenny Karola VIII z za Alp na Włochy w oczach jego, a spadły kary straszliwe na Rzym—miasto i na ludzi kościelnych i na Włochy i dalej po świecie już się rozlazły, zaledwie znikły prochy jego w Arnie. W 1527 r. nastąpił ów Sacco di Roma, co go tak wyraziście Zdzisław Morawski nakreślił. Przerwał panowanie Medyceuszów w Kościele ów pierwszy papież odnowiciel Hadrian VI., co go wprawdzie tylko dwóch kardynałów do grobu chowało, ale po którym znikły już na zawsze czasy Leona X. Rzeczypospolite i Księstwa biły się ze sobą, a dalej na zachód szalała burza, co zrywała jedność szat Chrystusowych i serce, ciało Kościoła w kawały darła: Reformacja, właściwie reformacyj przeróżnych stek bez liku i stał się oczywistym Sąd i Przyjście, zapowiadane przez Ferreryusza. Co mówił o mieczu Savonarola, o mieczu, który tuż, tuż nad głowami wisi, prawdą było szczerą. A Kościół wnet, wedle słów jego nowem miał jaśnieć życiem i zajaśniał. To też uczynił ślub przed murami zbuntowanej Bolonji Klemens VII. świadek burz, iż ukanonizuje Savonarolę, jeśli mu się miasto w ręce odda. A nazajutrz poddało się miasto bez krwi rozlewu, lecz do kanonizacji nie przyszło, chyba iż mamy za przesłanki jej uważać te freski Sykstyny, przed któremi Papieży obierają i w których zaklęto na watykanie ducha Hieronima z Ferrary pędzlem Michała Anioła.

* * *

W Szwajcarji nad górnym Lemanem są dwa miasta: jedno Montreux, a drugie Vevey. Tu, w tem ostatniem, żyła czas jakiś św. Koleta w klasztorze klarysek, dziś ewangelickim zborze w mieście, dziwnie do Joanny podobna, niezbyt daleko urodzona od jej miejsc rodzinnych, spółcześniczka jej w historji, wędrowna bohaterka odnowienia, wyzwolenia zakonów z pod jarzma materji i świata. Chodziłem tedy zamarłych szukając jej śladów. I ona też do rzędu Sybill i proroków XV-go wieku należy. Tylko ówczesny, chrześcijański jeszcze, porządek świata umożliwiał taki feminizm!—Tam zaś w Monterux, nad Lemanu wodami, na wybrzeżu, Danta 'czytałem. Skojarzył mi się Dante z tym brzegiem, jak kiedyś znów skojarzyły się Apokalipsa z łodzią płynącą nad tonią Lago Maggiore... A w Vevey, opodal, gdzie zaszedł później, o wiele później niż Koleta, raz na rynek miasteczka Bonaparte (może i spadkobierca proroctw Savonaroli o zwycięskim wodzu) i na przegląd uszeregował swe wojska z za Alp idąc do Włoch, tam na tym kwadratowym placu, gdzie szkolni chłopcy w tradycyjną wojenkę corocznie się bawią, a gdzie w XVII w. katolickiego misjonarza stracono, z tego samego XV-go wieku, co nasza opowieść i co św. Koleta*), wznosi się św. Marcin nad miastem, stary kościół. A na bramie jego wyryto napis „Rok 1498". Rok kaźni Savonaroli... I pozostał mi się św. Marcin veveyski wskaźnikiem tego imienia i pamiętam dzięki niemu tę datę. Montreux blisko jest Vevey; blisko Savonaroli jest Dante, blisko Savonarola Dantego, blisko nietylko w skojarzenia miejscach, nietylko w cieniach historji, nietylko w myśl i kraju przestrzeni, lecz w duszy obu, w dzikiem ich prawie i zapamiętałem Kościoła umiłowaniu .— Tem wielcy są obaj. Już Dantego Benedykt XV. specjalną opromienił encykliką i zdarł niejako z kart księgi jego ostatnie strachu pyłki, które je jak czasem widziałem, dla pewnych oczu pobożnych, kapłańskich nawet, tak niesłusznie zakrywały lękiem. Tacy już jesteśmy — boimy się siebie samych i własnej katolickiej wielkości. Kiedyż, o kiedy ruszy rydwan zwycięski Kościoła, w takiem uniesieniu, jak go Savonarola malował w swem dziele Trionfo della Croce, pierwszej podręcznej nowożytnej Apologetyce długo w szkołach katolickich po nim używanej? Czy prędko? — Czy już może? I to-

*) Istnieje dłuższy żywot św. Kolety po polsku.

czy się on, bo wciąż widnieją prorocy i Sybille Michała Anioła na murach Miasta i jego Sąd ostateczny. A sąd ten jest dla Triumfu Kościoła. I wówczas z trzech części Boskiej Komedji już dwie tylko pozostaną, chyba, że przez chwilę spełni się znowu pół jednej, ta pieśń, co raj ziemski, Jeruzalem opiewa nowe. W niej wszystko, co widzieli, mówili, chcieli, Ferreryusz, Katarzyna, Joanna, Bernardyn i Tamci inni się sprawdzi. Wielkość w Bożym Pokoju, Liturgja przy niegasnących świecach, Święci w pełnej postawie, proroczy duch twarzą w twarz zatopiony w tajnikach Boga, Archaniołowie pod nami, bo my odkupieni w Trójcy, bliżej Boga. Gladius Domini cito et velociter.

Prędko i odrazu spadnie miecz Pański wołał Savonarola—Niech spada—Przyjdź, Panie Jezu! Przyjdź prędko, mówił szeptem już Jan, Apostoł święty.—I co dzień przychodzi.

* * *

DODATEK.

Zwija Bóg Niebo i Ziemię, jakby szat odmieniał — mówi Psalmista i śpiewamy to co niedziela w nieszporach. Piękną jest sztuka, ale ostatecznem dobrem dla ducha ludzkiego nie jest. Ona zresztą się zmienia i któż powie, że to lub to w tym stylu a tamtym, całkowicie jest pięknem. Robiono jednak Savonaroli zarzut, że był ikonoklastą, burzycielem, dzikim niszczycielem sztuki. Otóż oto książka przedemną we francuskim języku „Dwaj dawcy natchnienia Sztuki Włoskiej Św. Franciszek z Assyżu i Savonarola" (Georges Lafenestre, membre de l'Institut: „St. François d'Assise et Savonarole inspirateurs de l'art italien", Paris, Hachette, 1911*). Nasz jednak Kremer w swej Podróży do Włoch (tom III, str. 499, Wilno nakładem i drukiem Józefa Zawadzkiego, 1861 roku, gdzie klilka stronic drobnego druku, jak w dopisku, poświęconych jest Savonaroli z powodu oględzin przez autora dominikańskiego dawnego klasztoru San Marco we Florencji) myśli jeszcze inaczej. Powrócimy kiedyś do tego przedmiotu. Raz jeszcze na piśmie do Savonaroli powracać nam trzeba—a duchem nieraz. W Polsce specjalnie możnaby wybitnie maryjny charakter Savonaroli pokochać i poznać. *Br. Kreuza.*

---

*) Choć z Savonaroli nie zrozumiał on nic, lecz przyznał w założeniu swem już, że on do sztuki pobudzał i że ją tworzył. Piękną polską powieść o Savonaroli zawdzięczamy S. Margiert. (2 wyd.).

UWAGA.

Wspomniana w tekście książka polska o św. Kolecie nosi tytuł: *„Żywot chwalebny pokornej sługi Chrystusowej“ Św. Kolety, Reformatorki i ksieni zakonu św. Klary.*

Opracowany przez ks. Donisset, dziekana Korbei, w przekładzie polskim skreślony, przez M. S. Lwów, nakł. Tłum. 1892 str. IV—394. O św. Bernardynie Sjeneńskim, istnieje malutki szkic polski przerobiony z francuskiego przez ks. X. Aleksandra Zarębę, prof. Sem. płockiego, p. t. *„Rys z życia św. Bernardyna Seneńskiego“*, Warszawa, 1895, str. 43. Życie św. *Jana Kapistrana* O. Fitzgeralda, tłum. z angielskiego na polski przez Marję Rzewuską, wyszło u św. Wojciecha w Poznaniu 1916 r. str. 182.

Wszystkie te zarysy są bądź raczej popularne, bądź nieco przestarzałe. O św. Katarzynie Sjeneńskiej niema prawie nic opracowanego w Polsce. W dawnym *„Przeglądzie Katolickim“* warszawskim (lata 1900—1) ukazało się małe studjum o niej W. Chłędowskiego w *„Sjenie“* (drugie wyd. wyszło po wojnie, Ossolineum, Lwów, 1923) i poświęcono jej osobny rozdział podobnie jak św. Bernardynowi. Jednakowoż nie można przyjąć tej pracy jak tylko z licznemi zastrzeżeniami. Różne, wprost osobliwe, teorje przezierają tam z pod pióra autora. W 1923 roku wyszły też, w bardzo nieudolnym przekładzie polskim Józefa Jankowskiego (z francuskiego tłomaczenia) Listy św. Katarzyny Sien do Błog. Rajmunda z Kapui. (Druk. Polaka—Katolika str. 131, Warszawa). W dawniejszych edycjach znaleźć można ponadto rzadkie już wydanie polskie fragmentu Katarzynowego o doskonałości.

Równie zanieobaną jest u nas św. Joanna d'Arc. (Libelt, ostatnio Warszawa, nakład i druk S. Lewentala, 1879, str. 250, w Bibljotece najcelniejszych utworów literatury Europejskiej). Dzieło racjonalistyczne. — Ks. Górka *„Dziewica Orleańska“* i kilka broszur Domańskiej i in. Ostatnio rozdział o Joannie d'Arc w zbiorowem dziełku Dąbrowskiego (Poznań, Fiszer i Majewski)—ale z uwzględnieniem antykatolickich źródeł.

Klasycznem dziełem o Savonaroli jest dwutomowa praca znakomitego włoskiego historyka z lat 1870-ch. Pasquale Villari pod tytułem *Girolamo Savonarola e i suoi tempi*, przełożony również na język francuski i zaopatrzony przy francuskiem wy-

daniu przedmową w duchu ściśle katolickim. Villari zaś katolikiem nie był i dlatego wiele stron życia Savonaroli pozostaje dla niego czemś niezrozumiałem. Za to florencki historyk ma wielką zasługę w tem, że odnalazł i sprawdził sfałszowane procesy sądowe Savonaroli i całą ich genezę, oraz historję. Na Villarim opiera się w dużej mierze polska wspomniana powieść Margerta. Obecnie wspaniałe dzieło profesora Józefa Schnitzera z Uniwersytetu Monachijskiego, wydana w języku niemieckim (München, 1924, verlag von Ernst Reinhardt, tom I, stron XII—599; tom II, stron 605—1167 bogato ilustrowane) o Savonaroli stanie się zapewne na czas dłuższy pracą klasyczną w tym przedmiocie. Pierwszy tom poświęcony jest życiu zewnętrznemu brata Hieronima, drugi zaś jego życiu modlitewnemu, mistyce, kaznodziejstwu, proroczym darom i usposobieniu, stanowisku zajętemu względem sztuki i wreszeie dziejom walki o cześć Savonaroli lub przeciw niej podjętym. Wiele wyjątków z tekstu Savonaroli dodaje wartości temu dziełu. W pierwszym tomie niechybnie pedagodzy zauważą piękny rozdział o *„Savonaroli i dzieciach"*. Wielki reformator przedstawia się nam jako jeden z pierwszych nowoczesnych inicjatorów i organizatorów młodzieńczej akcji katolickiej pod tym względem. Szkoda, że tu i owdzie, autor pomimo swej olbrzymiej kultury historycznej i teologicznej wyraża się nieraz w sposób dla katolika nieco bolesny, tak jakby chciał stosować swe uczucia względem niektórych spółczesnych Savonaroli i do obecnych stosunków kościelnych. O tem dziele patrz również obszerną recenzję w *Lincer Tcheologischer Quartalschrift* z 1925 roku. Pomijam tu inną literaturę o Savonaroli.

Od wielu lat daje się obecnie odczuwać we Włoszech wzrost zainteresowania się tą niesłychaną postacią, zainteresowania, które się przejawia w różnych wydawnictwach jego dzieł, poezyj, medytacji i t. d. Istnieje też francuski przekład głównych dzieł Savonaroli, sporządzony staraniem francuskich Dominikanów.

W tej bibljograficznej „uwadze" pozostaje mi jeszcze wspomnieć o stanowisku, zajętem przez słynnego historyka Papieży od wylotu wieków średnich Ludwina Bar. von Pastora, który jest dla Savonaroli nadwyraz nieprzychylny, chociaż gdy idzie o Aleksandra VI, Pastor faktów nie umniejsza, ani nie tai, idąc w tem za wskazówką Leona XIII, który wypowiedział

zdanie, że Kościołowi potrzeba tylko prawdy i że służyć mu nie można przez podmalowywanie historji. Ale co do Pastora (osobne wyd. niem. i fr. ustępów o Savonaroli i polemiki), trzeba stwierdzić, że znakomity ten badacz jest świetny, gdy chodzi o szkicowanie czysto ludzkich stosunków, tak iż mniejsze postacie nabierają u niego większego blasku.

W ten sposób sylwetki niektórych Papieży drugiej połowy XV wieku stanowczo zyskują. Natomiast, gdy chodzi o świętych, autor najwyraźniej się gubi i tajników świata nadprzyrodzonego nie umie, czy nie chce odczuć, zrozumieć i oddać. Tak naprzykład św. Pius V niezmiernie w jego dziele maleje. To samo da się powiedzieć o św. Ignacym Lojoli, choć to ulubieniec autora i św. Teresie i św. Filipie Nereuszu (osobne wydanie tych sylwetek, również i po polsku *Reformatorzy Katoliccy*, przekł. X. Arcyb. Mańkowskiego, wyd. X.X. Jezuitów, Kraków 1922). To też i nic dziwnego, że i Savonarola stał się dla niego księgą zamkniętą. Jeśli zważyć jednak na środowisko umysłowe, z którego wyszedł stary już dziś Pastor, to nasza uwaga nie przyniesie mu zbytniej ujmy. Olbrzymie jego trudy, oparte szczególniej na drobiazgowej erudycji, pochwalił Pius XI w osobnym liście. Erudycja jednak jednego człowieka nigdy nie może być całkowitą, ani niezawsze też pomaga do syntezy. Hiszpanie również się uskarżają na Pastora, że ich nie zrozumiał. Metodyka germańska niezawsze jest łatwym wykładnikiem romańskiego ducha.

Nie wiem, czy istnieje rozbiór jego dzieła z punktu widzenia historji Polskiej. Mimo tych usterek historja Papieży Pastora pozostanie na długo spiżowym pomnikiem. Ale zmysł i walor dziejów papiestwa tylko wtedy wszystkie swe przedziwnie głębokie tajniki ukaże, gdy się należycie uwzględni Savonarolę. O Papieżach epoki Savonaroli, patrz też oryginalną historją kościoła francuskiego prof. Alberta Dufoureq. O wpływie Savonaroli na Michała Anioła czytaj studjum Klaczki *„Les Papes et la Renaissance, Jules II"* — Juljusz II również tłumaczony na język polski przez Tarnowskiego. Poeta Staff, w swoim wstępie do swego tłumaczenia poezji Michała Anioła (Mortkowicz, Warszawa—Kraków 1922, str. XV), mówiąc o tym samym wpływie, mało go rozumie, nazywając z urzędu Savonarolę „posępnym mnichem". Po polsku o Savonaroli można czytać mglisty djalog Gobineau w jego *„Odrodzeniu"*. Niewiele tam

znajdzie czytelnik historycznego zbudowania. I jeszcze występuje Savonarola, niestety jako *„marzyciel"* (wizjoner i realista ale nie marzyciel!) w polskiem tłumaczeniu dzieła o Florencji Kamilla Mauclair (Lwów—Poznań nakładem wyd. polskiego). Niewiele to. Bibljografji zagranicznej o innych wzmiankowanych tutaj postaciach nie podaje. Mówiąc zaś o „świętości" Savonaroli i t. p. nie myślę wyprzedzać woli i orzeczeń Kościoła i we wszystkiem się poddaję przepisom Urbana VIII co do sług Boskich jeszcze nie beatyfikowanych lub dotąd niekanonizowanych. Czynię podobnie z łaskami otrzymanemi przeze mnie za wstawiennictwem Brata Hieronima, o których mógłbym zaświadczyć.

1928 Warszawa.

Ks. Jan Beyzym.

Na drodze do beatyfikacji.

Każde społeczeństwo ludzkie, tak stojące na najniższym stopniu rozwoju kulturalnego, jak należące do elity cywilizacyjnej, zawsze i wszędzie posiadało jednostki, które zpośród szarego tłumu wybiły się na czoło przez swoje bohaterstwo. Takie chluby ogółu, co spełniły czyny bohaterskie, spotkać można już w czasach przedhistorycznych, jak również w epoce starożytnej, średniowiecznej i nowożytnej, nie brakuje ich wreszcie w dobie bieżącej, tylko, że w różnych okresach dziejów pojęcie bohaterstwa ulegało zmianom. Do drugiej niemal połowy wieku dziewiętnastego, a w niektórych krainach nawet do dni naszych, za bohaterów miano przeważnie tych, co się wsławili na wojnie odwagą, tych, co, wpadłszy w furor belli, w pewnego rodzaju oszołomienie i podniecenie, walczą, jakoby lwy. Dopiero w ostatnich czasach za bohaterstwo uznano również inne czyny ludzkie. Za bohaterski ma się dziś czyn dróżnika, który z narażeniem życia własnego staje na uszkodzonej linji kolejowej, żeby przez zwrócenie w ten sposób uwagi maszynisty uchronić od niechybnej katastrofy rozpędzony pociąg, za takiż sam uznaje się powszechnie czyn jakiegoś przechodnia, który rzuca się w nurty wody, by wydobyć tonącego, takim też jest uczynek telegrafisty, telegrafującego o pomoc dla gromady ludzi narażo-

nych na niebezpieczeństwo, choć jemu samemu grozi śmierć. Fakty te należy uznać istotnie za bohaterstwo, stwierdzić trzeba wszakże, iż są to czyny odruchowe, gwałtowne, którychby osoby owe nie spełniły po głębszem zastanowieniu się. Większe jeszcze jest bohaterstwo, bohaterstwo nad bohaterstwami, mianowicie poświęcenie się pielęgnowaniu chorych, a zwłaszcza trędowatych. Tu po pierwszym odruchu przychodzi refleksja, przychodzi namysł, po którem następuje ciężkie zmaganie się z samym sobą, ciężar więc, jaki trzeba znieść przewyższa, zda się, siły ludzkie. O ile jednak jednostka, która poświęciła się tak szczytnie, nie załamie się, trzeba uznać ją za bohatera, postokroć, potysiąckroć większego, aniżeli wojownika. Bohaterskich rycerzy czy żołnierzy miał świat bez liku, tymczasem bohaterskich pielęgniarzy takich nieszczęśliwców, którzy zapadli na ciężkie choroby, bądź dotknięci zostali trądem, posiadał bardzo, bardzo niewielu. Jeżeli chodzi o opiekunów trędowatych, to najwybitniejszymi z nich byli tacy bohaterzy, jak o. Izydor Dupuy, Jezuita, zmarły wskutek trądu na Madagaskarze w 1912 r., jak o. Daniel de Samarate, który umarł w Brazylji w 1925 r., jak ks. Franciszek Ksawery Nicouleau kapłan świecki, zmożony przez tę nieuleczalną chorobę w Oceanji w 1927 r. Polska także wydała bohaterskiego opiekuna trędowatych, którym jest o. Jan Beyzym, Jezuita, nieżyjący od lat piętnastu, wsławiony niezwykłą świętobliwością życia oraz poświęceniem, na skutek czego, jak donosi krakowski „Mały Światek", obecnie rozpoczęto starania o jego beatyfikację.

Świętobliwy ten członek Towarzystwa Jezusowego urodził się dnia 15 maja 1850 r. w Beyzymach, w powiecie zasławskim. Ojcem jego był Jan Beyzym, dziedzic dóbr Onackowce, w powiecie zwiahelskim, potomek starego rodu ruskiego, matką jego była Olga z hr. Stadnickich. Lata dziecięce spędził mały chłopczyna w domu rodzicielskim pod dachem dworu onackowieckiego, gdzie pobierał również pierwsze nauki jakoteż przygotowywał się do Pierwszej Komunji św., którą przyjął w kościele parafjalnym w Łabuniu, na Wołyniu. Szczęśliwie zrazu płynęły dni w siedzibie państwa Beyzymów, niebawem jednak nastał dla nich okres nadzwyczaj ciężki. Kiedy w 1863 r. wybuchło powstanie styczniowe, pan Onackowiecki, szczery patrjota, przyłączył się natychmiast do oddziału powstańczego, co sprowadziło bardzo opłakane skutki. Po zlikwido-

waniu ruchu powstańczego przez Moskali musiał pan Beyzym uciekać zagranicę, skazany bowiem został zaocznie na karę śmierci, dobra zaś jego, złupione i obrabowane niemal doszczętnie przez dzicz kozacką, skonfiskował rząd. Rodzina państwa Beyzymów została w następstwie tego rozbitą oraz zbiedniała. Mąż nie mógł wspierać pani Beyzymowej, musiała przeto ona udać się do swojej siostry do Śledzi, na Podolu.

Ponieważ Jaś, będący najstarszym synem, liczył już lat czternaście, należało go posłać do gimnazjum. Pomimo rozporządzania bardzo szczupłym fundusikiem, zdołała dzielna matka umieścić swoich chłopców w szkołach w Kijowie, a nastąpiło to w 1864 r. Widząc trudności, z jakiemi walczyła pani Beyzymowa, Janek, odznaczający się prawością, prawdomównością tudzież ogromną sumiennością w spełnianiu obowiązków, postanowił dopomóc matce, by stanowić dla niej ciężar jaknajmniejszy. W tym właśnie celu, nie zaniedbując ani trochę własnej nauki, udzielał korepetycyj kolegom z klas młodszych, przepisywał akta urzędowe, skoro zaś zaszła potrzeba, sam naprawiał braciom ubranie, aby zaoszczędzić na tem bodaj parę groszy. Rodzeństwu starał się zastąpić nieobecnego ojca, czuwał nad niem zawsze bacznie, o ile zaś nadchodziły jakieś święta np. Boże Narodzenie albo Wielkanoc, wytężał wszystkie siły, iżby kupić dlań bodaj bułek kilka, czego w skromnem mieszkanku nie widywano nigdy. Już to samo świadczy o jego wielkiej miłości rodziców, którym pragnął umniejszyć kłopotów, opiekując się braćmi, to jednakowoż wydało mu się jeszcze niedostatecznem, gdyż na wieść o niedostatku, jaki cierpiał na emigracji jego ojciec, potrafił mu przesłać kilka tak krwawo zapracowanych rubli, aczkolwiek z emigrantami korespondencja była zabroniona kategorycznie.

W 1871 r. ukończył młody Beyzym gimnazjum kijowskie, poczem zamieszkał u wuja swego w Śledziach. Przez cały rok w zacisznej wsi podolskiej oddawał się praktyce rolniczej, pracował fizycznie bez wytchnienia, albowiem bezczynności, która jest matką wielu grzechów, nienawidził. Tymczasem w duszy jego dojrzewało powołanie do stanu duchownego. Obcując podczas pracy z ludem podolskim, ukochał go całą duszą, ukochał go serdecznie, to też, wedle słów jednej z jego kuzynek, „marzeniem jego... było skończyć seminarjum w zaborze rosyjskim i na jakiejś skromnej parafji na Podolu pracować dla tego

ludu". Chcącć uzyskać przedtem błogosławieństwo ojcowskie, w 1872 r. przebrany za chłopa, przedostał się do Galicji bez paszportu oraz udał się do Porudnego, gdzie przebywał jego ojciec. Spotkanie to było bardzo wzruszające, po niem atoli plany młodego Beyzyma uległy zmiaie. Stary emigrant, posłyszawszy, iż syn jego ma chęć zostania kapłanem, wyraził życzenie, by wstąpił on do zakonu o. o. Jezuitów. W duszy pobożnego młodziana rozpętała się natenczas gwałtowna walka. Pragnienie swe chciał wcielić jaknajprędzej, tymczasem nie mógł zdecydować się na postąpienie przeciw woli ojca, którego kochał nadzwyczaj. Przed krokiem ostatecznym znowu poświęcał się z zapałem pracy około gospodarstwa, nie mogąc siedzieć bezczynnie, ona to stanowiła dlań rozrywkę, przyjemność cała, wszelkich zaś zabaw unikał, gdyż czuł, że do niczego dobrego one nie prowadzą. „Teatrów, balów i t. p. nie lubię" — wyznał sam w liście z owych czasów, a cioteczna siosta jego we wspomnieniach o nim powiada: „Nie było siły, któraby go zmusiła do ubrania się w modny strój wizytowy lub balowy". Rodzina usiłowała go „do mody nałamać", ciotka ośmieliła się nawet pytać go, czyby się nie ożenił, zamierzała go swatać, ale życie świeckie go nie pociągało, Bóg wołał go na Swego sługę coraz silniej, skutkiem czego żadne pozory szczęścia w świecie nie zdołały go pociągnąć. W ostatnich miesiącach 1872 r. powołanie młodego Beyzyma dojrzało: oto postanowił ostatecznie wstąpić do Towarzystwa Jezusowego. Bliska krewna jego, wspominając ostatnie chwile jego życia świeckiego, mówi: „Przekonana jestem święcie, że postanowienie to kosztowało go wiele, bo, pozostając w Galicji, na zawsze żegnał ukochane Podole, rodzinę kochaną i kochającą i cel, który mu od lat dziecinnych przyświecał – pracę dla ludu w stronach rodzinnych". Złożywszy wszystko to na ołtarzu poświęcenia, w pierwszych dniach grudnia 1872 r. pojechał razem z ojcem do Starej Wsi, w Sanockiem, gdzie został natychmiast przyjęty do nowicjatu

Dnia 11 grudnia 1872 r. rozpoczął pobożny młodzieniec życie zakonne. Dla zbadania istotnej wartości nowicjusza przełożeni wyznaczają mu prace służebne, jak np. usługiwanie do stołu, zamiatanie korytarzy i cel, zmywanie naczyń, na skutek tego jednostki charakteru słabego oraz natury egoistycznej burzą się, borykają się z przykrościami, w celu więc uniknięcia ich zdobywają się na rozmaite kompromisy za wszelką cenę,

obchodząc otrzymane rozkazy. Takie postępowanie młodemu Beyzymowi było zupełnie nieznane. Mając głębokie poczucie obowiązku, to co mu rozkazano, spełniał jaknajskrupulatniej, to też w grudniu 1874 r. dopuszczony został do pierwszych ślubów zakonnych, gdyż obok posłuszeństwa dał też dowody prawdziwej świętobliwości. Po odbyciu nowicjatu pobożny zakonnik pozostał w Starej Wsi jeszcze na przeciąg lat trzech, podczas czego studjował wymowę i filozofję, w 1878 r. przeniesiono go do Tarnopola, oddając mu w opiekę młodzież średnią tamtejszego internatu. Tu spędził on rok jeno, potem udał się do Krakowa na studja teologiczne, a skorc je skończył z rąk ks. biskupa Albina Dunajewskiego dnia 26 lipca 1881 r. otrzymał święcenia kapłańskie.

Odtąd począł pracować jako kapłan, przyczem specjalnie działał, jako kierownik rekolekcyj oraz jako pedagog. Terenem działalności jego był zrazu Tarnopol, od 1887 r. zaś stał się nim Chyrów, mający tak chlubne karty w dziejach szkolnictwa polskiego. W pierwszych latach pobytu w konwikcie chyrowskim zajmował się o. Beyzym uczeniem chłopców gramatyki rosyjskiej i francuskiej, dopiero potem przełożeni mianowali go prefektem infirmerji, czyli lecznicy. Napozór ponury, a w istocie tak czuły i zawsze wesoły, zdobył sobie ten kapłan zaufanie dorastającej młodzieży, co jest rzeczą jedną z najtrudniejszych, wszyscy kochali go wielce, jednak w maju 1897 postanowił opuścić to wszystko, albowiem Bóg wyznaczył mu inną misję.

Wówczas to młodziutki kleryk, Apolonjusza Kraupe, otrzymał skądś broszurę ks. Jana Wehinger'a p. t. „Trzy lata między trędowatymi“, w której autor opowiada o swoich pracach oraz o stanie kolonji tych nieszczęśliwych w Birmie. Serce młodzieniaszka wzruszyło się na wieść o tem, powziął on tedy postanowienie udania się między trędowatych, w celu zaś zasięgnięcia porady udał się do swego spowiednika, o. Beyzyma. Ten ostatni całego opowiadania wysłuchał z niezmierną uwagą, ledwie natomiast kleryk skończył mówić, oświadczył stanowczo: „Z mej strony niema tej przeszkody, bo już jestem kapłanem, pójdę do trędowatych, jeśli przełożeni pozwolą... Co do ciebie, wnieś również prośbę na tę misję, uda się, nie uda, poprobować można“. Potych słowach obaj skierowali swe kroki najpierw do kaplicy, a następnie do przełożonego. Tegoż same-

go jeszcze dnia o. Beyzym i kleryk Kraupa, napisali listy do generała zakonu z prośbą o pozwolenie, po kilkunastu dniach wszakże przychylną odpowiedź otrzymał tylko o. Beyzym.

Załatwiwszy wszystko z władzami duchownemi i rządowemi i poczyniwszy potrzebne przygotowania, dnia 17 października 1898 r., opuścił świętobliwy zakonnik ziemię ojczystą na zawsze, udając się na Madagaskar. Po długiej uciążliwej podróży stanął wreszcie dnia 30 grudnia 1898 r. w Tananariwa'że, w którem to mieście zamieszkał na czas jakiś, żeby nauczyć się miejscowego języka malgaskiego. Mieszkając tam, co niedziela udawał się do pobliskiego Ambahiwuraku celem odprawienia w tamtejszem schronisku dla trędowatych Mszy św., aż w połowie lutego 1899 r. przeniósł się tam na stałe. Odtąd rozpoczyna się jego bohaterstwo nad bohaterstwami. Obcowanie z dotkniętymi trądem wymaga wiele zaparcia się siebie, a do usługiwania im trzeba sił wprost nadludzkich. Nie bacząc na możliwość zarażenia się, starał się o. Beyzym zmniejszyć ich cierpienia, pielęgnował swe „czarne pisklęta", jak nazywał chorych, z troskliwością niepowszednią, najwięcej aliści bolał go brak odpowiedniego schroniska. „Co... mnie trapi, to nędza moralna, — donosił w jednym z licznych swoich listów— pochodząca przeważnie z... nędzy materjalnej. Narażeni są moi nieszczęśliwi na tysiączne okazje do grzechu ustawicznie... Mieszkają, jak bydlęta, i to razem: mężczyźni, kobiety, dzieci, katolicy i poganie". Nie mogąc na to patrzeć, powziął projekt budowy nowego szpitala, urządzonego po europejsku. Zaczął go budować w Fianarantsoa'u, a nie w Ambahiwudruk'u, jak pragnął początkowo, bo w tej drugiej miejscowości nie dał mu go wznosić rząd francuski.

Mnóstwo piętrzyło się przed o. Beyzymem trudności, ufny jednak w pomoc Bożą oraz w pomoc Najświętszej Marji Panny, wybudował w Marana'ie, pod Fianarantsoa'ą wspaniałe schronisko za sumę stu pięćdziesięciu tysięcy franków, złożonych przeważnie przez Polaków. Jak trwała budowa, jakie musiał przezwyciężać przeszkody, opisał w przecudownych swych listach, które o. Marcin Czermiński Jezuita, drukował w redagowanych przez się krakowskich „Misjach Katolickich". Listy owe następnie wyszły w osobnej odbitce, nosząc tytuł: „Trędowaci na Madagaskarze". Pierwsze wydanie rozeszło się niemal błyskawicznie, tak, iż zaszła potrzeba powtórnego wydania tej książki,

a kiedy i tym razem cały nakład jej wnet wyczerpał się, wydrukowano ją po raz trzeci oraz po raz czwarty p. t. „O. Jan Beyzym T. J. i trędowaci na Madagaskarze". To czwarte wydanie ukazało się w 1904 r.

Wytrwale pracował pobożny kapłan wśród tych najbardziej nieszczęśliwych na świecie, atoli nie przychodziło mu to z łatwością. Dnia 14 września 1899 r. wyznawał w korespondencji: „Słyszałem, że kilku naszych chciałoby się dostać do trędowatych. To bardzo piękne, ale teraz pytanie, czy to wszystko powołanie prawdziwe czy tylko chwilowe zachcianki. Oby każdy z tych, co o tem myśli, posłuchał mojej rady i pierwej 10 razy dobrze rozważył wszystkie racje pro i contra, a dopiero potem prosił o misję! Wierzajcie mi (a mówię to z doświadczenia własnego, nie z czyjegokolwiek opowiadania), że nie jest to rzecz tak łatwa, jakby się zdawało. Zachwycać się opisami „Misyj Katolickich", zwłaszcza, jeżeli artykuł dobrze napisany, daleko łatwiej, niż samemu być osobą działającą".

W 1909 r. na samym jego schyłku komunikował o. Beyzym o. Czermińskiemu: „Mam też i o sobie coś nowego donieść Ojcu co do zdrowia. Plama na pulsie prawej ręki, o której Ojciec wie oddawna, przedtem powiększała się, a teraz od jakiegoś czasu nietylko, że się nie powiększa, ale przeciwnie, zmniejsza się, wprawdzie powoli, ale się zmniejsza. Pokazałem to O. Deces i on potwierdził to samo. Jeżeli to był początek trądu, to być może, że Matka Najśw. wyleczy mnie... Jak mój szpital będzie się miał ku otwarciu, to dam się zbadać naszym dwu Ojcom doktorom i zaraz Ojcu doniosę, co orzekną względem tego, czym trędowaty czy nie. Jeżeli będzie to wolą Przełożonych, a zatem i P. Jezusa, zostanę tu między trędowatymi nie z musu tylko, ale z największą chęcią i poddaniem się najzupełniejszem do śmierci". Tak było istotnie. Bohaterski opiekun trędowatych sam nabawił się trądu, a gdy do tego dołączyła się jeszcze febra oraz skleroza, wyczerpany pracą organizm nie wytrzymał. Dnia 2 października 1912 r. powołał Pan Zastępów tego bohatera nad bohatery do Siebie, iżby — w co wątpić nie można — po życiu krzyżów, poświęceń, ofiary dać mu wieniec chwały w przybytkach niebiańskich.

Wiadomość o śmierci wielkiego tego Jezuity polskiego szybko rozeszła się po całej Europie i po całej Polsce, budząc wszędzie uznanie dla jego bohaterstwa. Liczne pisma zagra-

niczne pomieściły mnóstwo wspomnień pośmiertnych o o. Beyzymie. W tyle nie pozostały też czasopisma nasze. W języku polskim jeszcze za życia o. Beyzyma krótką biografję jego zatytułowaną: „Beyzym" podał X. M. C. w „Podręcznej encyklopedji kościelnej, opracowanej pod kierunkiem... redaktora ks. Zygm. Chełmickiego" (Warszawa, 1904) w tomie III—IV, niebawem po śmierci ks. Marcin Czermiński opublikował obszerny żywot p. t. „Ks. Jan Beyzym T. J., ofiara miłości" (wydanie I—Kraków, 1913; wydanie II—Kraków, 1922). Z pomniejszych prac wymienić można krótki szkic: „X. Jan Beyzym. 1850—1912" napisany przez F. B., a zamieszczony w „Kalendarzu Św. Piotra Klawera na rok Pański 1917" (Salzburg, 1916), jakoteż artykulik: „Ojciec trędowatych. W piętnastolecie śmierci O. Jana Beyzyma" drukowany na jesieni 1927 r. w warszawskiem „Słowie Bożem". Przed międzynarodowym misyjnym kongresem akademickim, który miał miejsce w Poznaniu w końcu września 1927 r. ukazały po raz piąty „Listy o. Jana Beyzyma T. J, apostoła trędowatych na Madagaskarze" (Kraków, 1927), niedawno zaś temu wyszła z druku „rzecz sceniczna w III odsłonach" pióra Marji Czeskiej-Mączyńskiej, która nosi tytuł: „Czarne pisklęta" (Kraków, 1928), a osnuta jest na tle życia o. Beyzyma na Madagaskarze.

Latem 1927 r. jakiś autor, kryjący się pod pseudonimem „Swój" w artykule: „Więcej! więcej Chmielowskich—Albertów!", pomieszczonym w krakowskim „Dzwonie Niedzielnym", pisał: „Wiecie, kto wśród Polaków ostatniej doby był największym świętym? Beyzym i Brat Albert". Przekonanie to nie jest odosobnione, bowiem za świętego uważa o. Beyzyma i więcej osób, a wydawca piątego wydania jego listów mówi o nim poprostu, że „mógłby chyba bez trudności stanąć kiedyś na naszych ołtarzach". Być może, iż to się stanie, lecz do tego potrzeba woli Boskiej, potrzeba cudów, o nie przeto za przyczyną tego czcigodnego ziomka naszego trzeba prosić Stwórcę jaknajgoręcej. To jest pierwszy etap starania się o beatyfikację o. Beyzyma, wówczas dopiero, kiedy dzięki niemu poczną dziać się cuda, nieulegające żadnej wątpliwości, można będzie rozpocząć formalny proces w św. Kongregacji Obrzędów w Watykanie.

Józef Marjan Chudek.

S. p. ks. dr. Piotr Czapla.

Dnia 6 maja r. b. z szeregów duchowieństwa djecezji włocławskiej ubył jeden z najwybitniejszych sług ołtarza, jeden z najbardziej zasłużonych kapłanów, mianowicie ś. p. ks. dr. Piotr Czapla, rektor Wyższego Seminarjum Duchownego we Włocławku i dyrektor Liceum im. Piusa X w temże mieście.

Urodzony w Sielcach, w Kieleckiem, w 1868 r., idąc za głosem powołania, wcześnie postanowił ś.p. zmarły poświęcić się stanowi kapłańskiemu. Po odbyciu pięcioletnich studjów teologicznych oraz po otrzymaniu święceń oddał się z zapałem pracy duszpasterskiej, terenem której była najwpierw parafja Lubień, pod Włocławkiem, a potem parafja Błenna. W obydwu tych miejscowościach ś. p. ks. Czapla przebywał niespełna lat pięć. W 1900 r. udał się na wyższe studja teologiczne do Innsbrucku, do Austrji, gdzie, spędziwszy ogółem lat cztery, otrzymał doktorat teologji.

Z chwilą powrotu do kraju działalność ś.p. zmarłego poszła w innym nieco, niż poprzednio kierunku, bo pracować zaczął jako pedagog, jako spowiednik i jako pisarz.

W 1904 r. z woli przełożonych objął urząd ojca duchownego czyli kierownika duchowego we Włocławskiem Seminarjum Duchownem, mając za zadanie wychowywać nowe zastępy kapłanów. Stanowisko to było wielce odpowiedzialne, jednak ś.p. ks. Czapla ze swych zadań wywiązywał się znakomicie. „Jako ojciec duchowny—powiada o nim ks. Michał Morawski w „Słowie Kujawskiem"—wniósł do seminarjum wiele ożywienia i tego prawdziwego życia Bożego". Obok tych obowiązków spełnia inne obowiązki profesora, wykładając teologji pasterskiej, ascetycznej oraz mistycznej.

Co się tyczy działalności jego w konfensjonale, to była ona bardzo ożywiona, przyczem największą była w ostatnich latach jego życia. Świadkiem tej pracy jego był nietylko Włocławek, ale i okolice dalsze, gdzie był spowiednikiem paru zgromadzeń zakonnych oraz licznego grona osób pobożnych.

Obowiązki pedagogiczne tudzież obowiązki kierownika duchowego wielu penitentów absorbowały ś. p. zmarłemu mnóstwo czasu, mimo to jednak znajdował jeszcze chwile, by pracować piórem. Pracę pisarską rozpoczął ś. p. ks. Czapla w 1904 r.

Wtedy to w „Podręcznej encyklopedji kościelnej, opracowanej pod kierunkiem... redaktora ks. Zygm. Chełmickiego" (Warszawa, 1904), poczynając od tomu trzeciego, zamieścił sporo artykułów, przez skromność wszakże ani nazwiskiem ani pseudonimem nie podpisał ich. Kiedy w 1907 r. ś. p. ks. biskup Stanisław Zdzitowiecki utworzył urzędowy miesięcznik djecezjalny p. t. „Kronika Djecezji Kujawsko-Kaliskiej", na pierwszego redaktora jego powołał ś. p. zmarłego. Pod redakcją ś. p. ks. Czapli pozostawało pismo to przez rok, otrzymując od niego charakter i kierunek. Na łamach „Kroniki" ś. p. zmarły drukował sporo swych recenzyj czy drobnych artykułów z dziedziny duszpasterstwa, z większych rzeczy zaś ukazała się tam w pięciu ciągach w 1907 r. rozprawa zatytułowana: „Hipnoza wobec etyki". W tymże roku opublikowane zostały w owym miesięczniku rozprawki: „Kardynał Manning a podstawy życia społecznego" jakoteż „W jakich wypadkach chorzy mogą komunikować nienaczczo?" Obok „Kroniki" drobniejszemi utworami swemi zasilał „Ateneum Kapłańskie", założone przez ś. p. ks. Idziego Radziszewskiego. Tu w 1914 i w 1915 r. pomieścił swą pracę: „Pius X a duchowieństwo", a w 1916 r. rozprawę: „Psychika naszego ludu". Pierwszy rok niepodległości Polski przyniósł osobną książkę ś. p. zmarłego, mianowicie „Ogólne zasady duszpasterstwa" (Włocławek, 1919), natomiast w 1925 r. za jego staraniem wznowione zostało wydawanie zawieszonego na pewien czas „Ateneum Kapłańskiego".

Przed paru laty zapadł ś. p. ks. Czapla na chorobę sercową, która kilka miesięcy temu powaliła go na łoże boleści. Po długich i ciężkich cierpieniach zasnął on słodko w Bogu i, jak powiada w „Słowie Kujawskiej" Irena Gramsowa,

„maluczki stanął w wielkości przed Panem
w nagrodę zasług wziąć świętych koronę".

J. M. Chudek.

SPOŁECZEŃSTWO I WYCHOWANIE.

Chrystus czy wieprze.

Przewieziony czółnem przyjaciół — rybaków przez jezioro Tyberjadzkie stanął Jezus na brzegu krainy Gerazenów. Zielone pola, obmyte poranną rosą, obfitszą tutaj niż deszcze, śmiały się tysiącem grubych kropli do słońca, które już płonęło na niebie i zalewało je potopem ogromnej światłości. Zamienione tą światłością powiewa w jasne morze ognia i jezioro, wylewające błękitne płachty wody na piasek gotowały zmęczonym piersiom Boskiego Pracownika zasłużone wytchnienie.

Cały poprzedni dzień spędził na głoszeniu Królestwa Bożego w przypowieściach, pełnych tajemnic i mocy. A gdy tłumy gromadzące się mimo późnego wieczoru wokół jego domostwa nie łudziły go nadzieją spoczynku, postanowił przeprawić się barką na cichy brzeg Pereji. Nocna podróż po jeziorze nie ukoiła Zeglarza iskrzeniem gwiazd na odległym sklepieniu niebios, grą poświaty księżycowej na wodach, szumem fal — jak to zwykle bywa. Wprawdzie zrazu jednostajny plusk wioseł i kołysanie sprawiły, że znużony zasnął na wezgłówku sternika— wprawdzie zasnął tak mocno, że ryk niespodzianej burzy i fale zalewające łódź nie mogły go obudzić — mała wiara najwierniejszych odmówiła mu tego Snu pod piorunami. Czego nie mogły gromy, dokonały słowa: „Nauczycielu, nie dolega Ci, iż giniemy?” Musiał więc, spętawszy żywioły, wymawiać im brak ufności, której nie miały tchórzliwe ich serca.

A teraz stał na miękkim, nasiąkłym wodą piasku i spoglądał wdal, na łąki i złomy skał, sterczacych gdzieniegdzie, niby górskie zamczyska. Na polach pasły się trzody świń, przez miejscowych pastuchów wczesną godziną wygnanych na paszę.— Nie dziwiło go mnóstwo tych nieczystych zwierząt. Znał On tę, zamieszkałą przez pogan okolicę, ozdobioną dziesięcioma miastami. Wszak te miasta były duszą państwa kazirodczego Antipasa, dały mu nazwę grecką Dekapolis i promieniały naokół cywilizacją i zepsuciem zachodniem. Jedno z tych miast (Gadara) wydało Meleagra — twórcę słynnej Antologji i wielu modnych pieśni miłosnych — epikurejczyka Filodomeusza, którego

imię głośne było w murach Rzymu: Nieliczny procent żydów, zmieszany z tłumem wykwintnych obcoprzybyszów, nietylko zapomniał o surowych Aboth i Toledoth, ale i o samym Przymierzu Mojżeszowym. Oddawał się uciechom ziemskim bez skrupułu, bo bogactwa ziemi sposobności ku temu nie skąpiły, a zniewieściali poganie całą duszą je wyzyskiwali. Dlatego tu w biały dzień, przechadzały się tysiączne stada wieprzów i nikogo nie raził widok mięsa, którego nie tknęły ostrożne szczęki Izraelitów prawowiernych.

Ale w chwili, gdy Jezus zawitał do tej krainy, spokój jej był bardzo pozorny. Zakłócali go ci najnieszczęśliwsi, przeklęci przez ziemię i niebo, dla których język nie miał imienia — opętani przez złego ducha. Szatan chętnie gościł w stronach, gdzie tyle kościołów mu stawiano w zepsutych duszach i darzył je swem strasznem błogosławieństwem.

Dwóch z nich, już od dawnego czasu przejmowało strachem mieszkańców miasta Gergeza, do którego Jezus się zbliżał. Byli oni szczególnie groźni, tak że nikt nie mógł bezkarnie przejść ich drogą. Gdy który z nieopatrznych, gdy nieświadome niebezpieczeństwa dziecko wyszło za miasto w stronę jeziora, rzucali się nań z wściekłością, raniąc je lub zabijając. Wyrzuceni z ludzkich siedzib, mieszkali w grobach, wygrzebanych w skałach — jako żywe trupy, gorzej brudzące swym dotknięciem, niż trędowaci. Zrozpaczeni ludzie wychodzili na nich gromadami i napadłszy znienacka, pętali im ręce i nogi sznurem, a gdy to nie pomagało, skuwali łańcuchem. Ale pod naciskiem piekielnej siły, żelazne okowy pryskały i opętani w gorszym szaleństwie pędzili na pustynię.

Ktokolwiek ich ujrzał, prawie nagich, w plugawych strzępach odzienia, z niesamowitym błyskiem w oczach, gdy kamieniami tłukli swe zczerniałe ciało, lub gryźli je obłąkaną gębą, uciekał przejęty najwyższym lękiem.

Ich nieludzkie wycia budziły w nocy śpiących i napełniały niepokojem zaciszne schronienia.

I oto, gdy Jezus szedł drogą, wybieżeli opętańcy z grobów; zobaczyli ludzi i rzucili się w ich kierunku.

Ale czar Chrystusowej postaci zgiął im kolana do ziemi. W głębokim pokłonie zatrzymali się o kilka kroków przed nim. Z ochrypłych gardzieli wyrwał się krzyk: Co nam i Tobie Jezusie, Synu Boga Najwyższego? Przyszedłeś tu przed czasem

męczyć nas? Albowiem Jezus już był wyrzekł rozkazujące słowa: Wynijdź duchu nieczysty z człowieka. — W owym wyznaniu szatańskiem kryła się rozpacz nieopisana i strach, że Syn Wszechmogącego już teraz, przed Sądem Ostatecznym, odbierze im czasowy przywilej dręczenia ludzi, a z nim jedyną osłodę w wiecznych mękach. Okrzyk ociągającego się ducha był tak mocny i nienawistny, że wywołał zapytanie Jezusa: „Co za imię masz?"—Piekło wyjąkało przez usta opętańca: „Imię moje legjon — albowiem jest nas wielu!..."

Po tem djabelskiem przedstawieniu się, nastąpiły podłe prośby, aby ich nie wyganiał z tej krainy i nie rozkazywał iść na dno przepaści. Drżał szatan, iż będzie musiał opuścić okolicę, gdzie się obławiał przez tyle lat. Ale gdy dojrzał w oczach Swego Boga nieuchronne postanowienie — rzucił ostatnią prośbę: „Jeśli nas wyrzucasz ztąd, puść nas w stado wieprzów"...

Piekielna mądrość była w tej prośbie. Inteligencja djabła przewidywała, że opętanie zwierząt pociągnie za sobą ich zgubę. Znając przywiązanie mieszkańców do dobytku, wiedziała, że nie zniosą oni straty i znienawidzą jej sprawcę.

Jezus zezwolił.

Wyszedłszy tedy legjon czartów z ludzi, wstąpił w wieprze, które pędem wpadły w jezioro i tam tonąc pozdychały.

Pasterze na nic więcej już nie patrzyli; pobiegli do miasta, ze zgrozą opowiadając o przybyszu, opętanych i stracie.

A uczniowie Jezusa obmyli brudne ciała opętanych, oblekli je w czyste szaty, a ponieważ wyczerpanie nie pozwoliło im utrzymać się na nogach, posadzili na kamieniu.

Nadciągające gromady Gergezanów ze zdumieniem ujrzały dwóch strasznych ludzi, siedzących spokojnie u stóp nieznanego przybysza — cudotwórcy. Patrzyli na to zjawisko z trwogą i radością. Oto ci dwaj groźni opętańcy, — plaga pobliskich okolic od tylu lat — stali się, za sprawą obcego wędrowca spokojnemi owcami. On zerwał cień, który padał na wesoły kraj. Jednem słowem zniweczył straszną zmorę. Ale On również uczynił, że w falach jeziora zdychały ostatnie sztuki tysiącznego stada świń. Gerazeni krótko się wahali w ocenie korzyści, jaką odnieśli.

Pozbyli się szatana, ale stracili wszystką swą nierogaciznę. To ich napełniało obawą, że ten potężny prorok zranić może jeszcze boleśniej ich serce. Vivit sub pectore vulnus. W po-

staci Chrystusa nie mogło być nic, coby wzbudzało nieufność lub lęk. Wszystko tam było jasnością, harmonją, blaskiem. Z łagodnej twarzy szła dobroć niewymowna, bił blask niezwykły. Nawet stopy, deptające ziemię, rozlewały wkoło woń olejków Maryi-Magdaleny. Ale ta woń dziwna — woń pokuty i przebaczenia, która się miała rozlać po całej krainie, wypierała zapachy chlewnych trzód. Gerazenom żal było miłego fetoru świń, drażniącego nozdrza przy wejściu do obory. *I prosiło Go wszystko mnóstwo kraju Gerazenów, aby z ich granic odszedł...*

Skwapliwie pomogli Mu wsiąść w łódź, odepchnęli jej dziób, zagrzęzły w piachu. Drżeli przed Jego niepojętą mocą i dobrocią. Ta dobroć była za mało ekonomiczna. Pożegnali się z białą postacią znużonego wędrowca, pożegnali się z Bogiem, rozkazującym morzu i szatanom — ze słońcem, zamkniętem w rysach człowieka. Odtrącili Jezusa Zbawiciela, bo było im żal wieprzów.

I Jezus — odszedł.

* * *

Ewangelja żyje wiecznie. Szatan i ludzie z każdego wieku umieją wystrugać dla Chrystusa krzyż, którego ciężkie ramiona rzucają cień na ziemie całe.

I Historja z Gerazenami powtarza się co dnia.

I, o prawdo okropna, ale rzeczywista! wyrzucamy codnia po tysiąc razy Chrystusa ze swego życia — dla wieprzów.

Wyrzucamy Go z duszy każdym grzechem, aby się nie sprzeciwić ciału, któremu śpieszno zacząć proces rozkładu. I nic nas nie obchodzi patrząca po przez wieki blada twarz Chrystusa, na której ciernie wyryły słowo: „przyjacielu, pocałowaniem zdradzasz Syna Człowieczego?”...

Literatura trzebi skwapliwie na kartach swoich kruszyny światła niebieskiego — usuwa z nich wszystko, coby mogło trącić Radością, Dobrem — Boskością — bo znalazła nową poezję: poezję czochania się wieprzów o chlewną zagrodę...

Sztuka wyrzuciła ze swej arki wszystko co niepróchniejące, co najczystszem złotem obleczone i wprowadziła tam malowane nierządnice.

Minęły czasy, kiedy Perykles przeznaczał ze skarbu państwa każdemu biednemu obywatelowi dwa obole, aby mógł uczestniczyć w teatrze. Celem teatru przestała być grecka katarsis

i chrześcijańskie oczyszczenie. Jest nim dzisiaj ułatwienie trawienia i innych funkcyj fizjologicznych.

Dziewczęta w biały dzień chodzą w sukniach, mniej okrywających ciało, niż dawne koszule, w którychby nie odważyły się przecież stanąć przed własnym ojcem.

Piękno duchowe stało się dla nich mniej zrozumiałem, niż śpiew dla bydlęcia. Ich ideałem — jest nagość, do której dążą przez legalne obnażanie się na ulicach miast. Bezczeszczą się codzień, wydając swe członki na nieczyste spojrzenia, na tę niemą prostytucję wzroku, której się uczą małe dzieci od matek...

A wielkie państwa świata, po bratersku związane w Lidze Narodów, ściskają krwawe łapy bolszewickie, jak zwykłą, ludzką dłoń. Utrzymują stosunki ze zbrodniarzem, który winien być wyjęty z pod praw. Więcej, starają się nawet o jego łaskawe względy. Rozmawiają przyjaźnie z tymi, na których Namiestnik Jezusa nie rzuca ekskomuniki, bo piekło ich jawnie uznało za swoich członków.

Niech wyrzucają Boga ze świątyń, niech zabijają go w duszyczkach dzieci, niech krzyżują Chrystusa z powrotem, — szanowne narody na to się zgadzają, póki można coś zarobić. Na tej samej stronicy dziennika, na której przerażało oczy zawiadomienie o zamordowaniu katolickich kapłanów—widniały telegramy o pertraktacjach handlowych z Rosją Bolszewicką. Niech odchodzi z ogromnych płaszczyzn ziemi Chrystus — byleby dochodziły ztamtąd zyskowne transporty bydła. A to jest więcej niż neutralność. *„Kto nie jest zemną, przeciwko mnie jest"*. Jak ciężko zapłacą za tę neutralność wielkie państwa świata!

* * *

O Jezu! — przebacz mi, żem Imię Twoje Boskie, Najczystsze we wszechświecie — które każdą duszę ludzką poi błogosławionem brzmieniem — Imię pełne Pokoju, ciche jak krew wylana na Golgocie, a potężne, jak harmonja wszystkich męczeńskich konań — zamykające w jednem słodkiem brzmieniu całą tajemnicę naszego zbawienia — żem to Imię, co jest Najdroższe i Najświętsze z imion, położył obok symbolu podłości.

To zestawienie brutalne razi ucho, jak bluźnierstwo i nie chciałoby się go słyszeć, nawet przez chwilę.

Ale tu na ziemi, gdzie lilje kwitną w bagnach, a perły ciskają w błoto przydrożne — gdzie obok świątyń stoją publiczne

domy, a życie codzień stwarza ię straszną alternatywę i bez skrupułów odrzuca Ciebie — dla nich, trzeba mówić głośno rzeczywistość.

Trzeba odsłaniać ropiejące rany, pokryte bielidłem i różem, aby nie pozwalano im butwieć w spokoju.

Gdy dokonają się czasy i Twoje Przenajświętsze Serce zamieni przestworza na Niebo, w chorale stworzeń będzie już tylko brzmiało jedno Imię Jezus.

Imię zwycięstwa i Radości Wszechmogącej.

T. Kordyasz.

Wychowanie fizyczne młodzieży.

Żyjemy w wieku techniki i... sportu. Musimy sobie z tego zdać sprawę dobrze, by zrozumieć wszystkie aktualne przejawy ducha dzisiejszego społeczeństwa.

Wiek XIII-ty, wiek najgłębszej i najjaśniejszej myśli filozoficznej przeminął dawno; renesans, klasycyzm zapisane już są w historji i przeżyły swe najpiękniejsze lata; po romantyzmie, specjalnie polskim, zostało jedynie echo—dzisiaj panuje wszechwładnie ars technica i kult zręczności i tężyzny fizycznej.

Trudno się z tem nie liczyć i oburzać się na te charakterystyczne znaki epoki, w której żyjemy, uważając je i traktując jako bałwochwalstwo i poganizm—raczej uczyńmy jak wiek XIII-ty z pogańską filozofją Arystotelesa, t. j. ochrzcijmy je, nadając tym spontanicznym, a wszechwładnym i wszechpotężnym falom XX-go wieku, charakter chrześcijański, podnosząc wszystko do Boga i kierując ku Jego chwale i naszemu duchowemu pożytkowi.

Faktem niezaprzeczalnym jest, że dzisiaj nietyle dyplomaci z całym śpichlerzem swych formuł i omawiań prawdy, ile lotnicy, automobiliści i sportowcy — rekordziści wszelkiego typu, czynią narody sławnemi i gwarantują im pokój i świetną przyszłość.

Przeciwstawić się temu, choćby w imię rzekomo wartości nadprzyrodzonych, byłoby szaleństwem i niezgodnem z myślą Boga i zasadami Kościoła, który wszystko, co nie jest z natury swej złem, poleca zwracać do Boga i uświęcać. „Czy jecie,

czy pijecie, czy cokolwiek innego czynicie — wszystko ku chwale Bożej czyńcie ..!" — oto wskazanie apostoła Chrystusowego na wszystkie wieki aż do skończenia świata.

Pomijając wyczyny techniczne genjuszu ludzkiego, w których się przebija refleks Nieskończonej Mądrości Boga, Twórcy i Pana przestworzy, zwróćmy dzisiaj szczególną uwagę na powszechny ruch całego społeczeństwa, a szczególnie młodzieży w kierunku wychowania fizycznego, sportów i przysposobienia wojskowego.

Podkreślmy fakt bijący w oczy, że gdy przed niespełna laty pięcioma ćwiczenia gimnastyczne, sporty, gry ruchowe były udziałem zaledwie małej cząstki naszej młodzieży, tak, że mieliśmy przed oczami jedynie typ angielskiego sportsmana, nie wyobrażając sobie ani śniąc o naszych własnych rekordach, dzisiaj na najbardziej zapadłej wiosce mamy championów już „wytrenowanych", a na terenie międzynarodowym polskie barwy już niejednokrotnie powiewały u szczytu masztów na boiskach i stadjonach wszechświatowych, na znak zwycięstwa polskich drużyn sportowych. Rokuje to najlepsze nadzieje na przyszłość, a z drugiej strony wskazuje, że pęd o tak wprost nieobliczalnym rozmachu nie da się zatrzymać, ani choćby okiełznać łatwo.

Zresztą dlaczegóż z punktu widzenia nadprzyrodzonego mielibyśmy kiedykolwiek potrzebę hamowania tego ruchu lub umniejszania jego wartości prawdziwej?

Łaska—jak głosi zasada teologiczna — nie niszczy natury, ale ją udoskonala. Owszem, najczęściej opiera się na niej, tak, że hasło: „W zdrowem ciele zdrowy duch" jest najzupełniej zgodne z najczystszą doktryną chrześcijańską, a bohaterzy ducha w słabej powłoce cielesnej należą do wyjątków.

Myślą Bożą w stworzeniu świata i w rządach nad nim jest doskonałość wszechstronna stworzenia i harmonja w rozwoju pełnym ducha i ciała.

Oczywiście musi tu zachodzić odpowiedni stosunek, o ile dusza wyższą jest od materji, ale to nie znaczy, by kiedykolwiek harmonijny i najpełniejszy rozwój wszystkich władz i mocy fizycznych miał być przeszkodą w rozwoju duchowym człowieka.

Jeśli jest pęd ku rozwojowi fizycznemu — skądkolwiekby on pochodził—dobry jest i współdziałajmy mu w tem, albowiem rozkaz Boży jest do pierwszych rodziców dany: „Rośnijcie" — do władz fizycznych człowieka najdosłowniej skierowany.

Naszą rzeczą jest, znając wartość życia nadprzyrodzonego, nadbudować na tej rozwiniętej, zdrowej naturze, tryskającej mocą i energją fizyczną, cały gmach łaski, a raczej przeniknąć ten ruch naturalny elementem nadprzyrodzonym, podnosząc go ponad poziom doczesny przez stawianie ideału wszechstronnej doskonałości, rozwoju w nieskończoność, aż do Tronu Bożego, wykorzystując ten sam entuzjazm do wyścigu, którego metą jest Dobro, Piękno i Prawda i Wszechmoc w Boga i każdej istoty na Jego obraz doskonałej.

Nie traćmy tylko energji i nie hamujmy tego zapału zbyt nieraz purytańskiemi skrupułami w drobnych najczęściej szczegułach kostjumowych, widząc pod wpływem wiekowego nałogu zaściankowych teologij wszędzie jedynie zło i grzech, a nie uznając zasadniczo w naturze objektywnego piękna i dobra.

Form przyjętych powszechnie w ten sposób nie zmienimy, a jedynie wniesiemy do prostych dusz zgubny niepokój i fałszywą świadomość, że nie można tam widzieć ani wprowadzać Boga, skoro tak bardzo jest to wszystko złem w Jego oczach, a wreszcie przez ciągłe reklamowanie „niebezpieczeństw" moralnych, rozbudzimy i tak w tym kierunku skłonną wyobraźnię młodzieży i wmówimy w nią, by widziała zło tam, gdzie go przedtem nie było.

Sprawdziłaby się tutaj, niestety, zasada logiczna: „nihil probat—qui nimis probat"—nie osiągnie skutku normalnego ten, który zawiele naraz zapragnął.

Oto lato w całej pełni. Doliny i zbocza górskie, wybrzeże morskie, zaciszne wsie we wszystkich dzielnicach Rzeczypospolitej zaludniły się lub wkrótce się zaludnią od kolonij i obozów młodzieży.

Otoczmy je ciepłem serc naszych, ukażmy im oblicza, na których będzie wypisana cała radość nasza na widok tych ogorzałych głów i ramion od słońca spalonych i cała jasna nadzieja przyszłości lepszej, przeniknijmy wszystko atmosferą nadprzyrodzoną, podnosząc młode dusze do Piękna i Dobra i Prawdy nieskończonej, wskazując im ideał Doskonałości Nieskończonej, ucząc je widzieć Boga w każdej trawie i listku drzewnym, na którym ślad ręki Bożej tak wyraźnie został wypisany i uczyńmy z tych ośrodków tężyzny fizycznej prawdziwe kuźnice ducha Bożego, którego w przyszłości nie zmogą żadne złe potęgi.

Do radości życia — z Bogiem! *Ks. A. Bogdański.*

Jeszcze o organizacjach młodzieży.

W artykule p. t. „Organizacje młodzieży" („Pro Christo" marzec-kwiecień 1928 r.) p. Moraczewska bardzo ostro potępia działalność wszystkich ideowych organizacyj młodzieży, za wyjątkiem jednego Kółka św. Teresy przy kośc. im. Jezus w Warszawie. — Autorka długo i zawidle dowodzi, że organizacje te uprawiają „katolicyzm administracyjny" (?), dlatego „w perspektywie historycznej" przedstawiają się jako jedno wielkie zero,— dalej, że „psują one stosy papierów i książek, że już na nic innego czasu nie starcza", a spodziewając się „przejść do historji, gromadzą dokumenty, by później uczeni nie trudzili się nad poszukiwaniami, a ludzkość nie straciła jeszcze jednej chluby".

Twierdzenie to jest wypowiedziane w formie tak kategorycznej, że może wywołać protest nawet ze strony wrogów ruchu młodzieży. Bo choć istotnie wartoby niejedno zmienić w tych tak licznych obecnie organizacjach,—to jednak hurtowne ich potępienie może nasunąć mniemanie, że autorka albo je zna powierzchownie, albo żywi do nich osobistą urazę, albo — brak jej znajomości ludzi i warunków pracy społecznej, wyrozumiałości, jednem słowem jest bardzo młodzieńczo pewna siebie i swego rozumu. P. Moraczewska potępia przedewszystkiem w organizacjach młodzieży tamowanie dyskusji, formalizm, pisanie protokółów, tracenie czasu na tworzenie biblioteczek, a wreszcie i to, że organizacje nie pracują nad wyrobieniem charakteru swych członków. Zastanówmy się kolejno nad temi zarzutami.

Większość młodzieży, jak i całego naszego społeczeństwa, jest niezamożna: pracuje ciężko umysłowo (urzędnicy, studenci, nauczyciele), lub fizycznie (robotnicy, rzemieślnicy, subjekci i t. p.), przyczem jest źle odżywiana, mieszka w ciasnych, przeludnionych mieszkaniach,—ponadto większość z pośród niej pochodzi ze środowisk nisko stojących pod względem kulturalnym. Naturalnie, że nie są to warunki sprzyjające rozwojowi życia intelektualnego. Taka młodzież nie ma więc pojęcia o dyskusjach à la Bielski z „Wieczorów nad Lemanem". Umie ona gawędzić o drobiazgach codziennego życia, — ale do rozmowy o rzeczach oderwanych, lub o zagadnieniach poważnych brak jej słów poprostu i nie umie często nawet skrystalizować w tym

względzie swych myśli i przekonań, — a co dopiero je wyrazić. O ile zaś czasem znajdą się jednostki, zabierające głos w poważnej rozmowie, to zwykle powtarzają one tylko zdania usłyszane, lub przeczytane. Zresztą niema w tem nic dziwnego: przecież i w organizacjach akademickich poważne „dysputy studenckie" (których sama nazwa w taki zachwyt wprowadza p. Moraczewską) nie są nadzwyczaj zbyt ożywione. Zaś t. zw. „fuksy" (studenci I kursu) pojęcia zwykle nie mają o dyskutowaniu i dopiero na seminarjach, zebraniach Kół naukowych i w różnorodnych organizacjach przyucza się ich do publicznego zabierania głosu.

W organizacjach trzeba więc uczyć młodzież zastanawiania się nad poważnemi kwestjami, — trzeba zwracać jej uwagę na różne zagadnienia z dziedziny nietylko religijnej, ale i społecznej, — trzeba wreszcie dostarczyć jej wiadomości koniecznych do wytworzenia sobie zdrowego, chrześcijańskiego światopoglądu. I do tego to celu mają zmierzać różnorodne pogadanki, a nie, jak naiwnie twierdzi p. Moraczewska (nie chcę ją posądzać o złośliwość), do dania okazji do „wygadania się" prelegentowi. Zresztą pogadanki i referaty nie tylko nie stoją na przeszkodzie dyskusjom, — ale jeszcze przeciwnie pomagają ich rozwinięciu, dostarczając materjału do roztrząsań. Zwolna młodzież przyzwyczaja się do słuchania, czytania i myślenia o rzeczach poważnych; — zaczyna stawiać pytania, — wreszcie rozmawia o powyższych zagadnieniach.

Formalizm i owe straszne „protokóły" nie są zazwyczaj zbyt uciążliwe i wiele czasu zabierające w organizacjach młodzieży;—pominąć ich jednak nie podobna, gdyż mają one duże znaczenie pedagogiczne. Przyuczają one młodzież do karności i poszanowania dla prawa, nawet gdy to prawo jest przez nią samą ustanowione. Dobrze zaś prowadzona księgowość przypomina młodzieży powzięte postanowienia, oraz uprzytomnia sposoby, któremi się doszło do ich realizowania. Pisanie i odczytywanie protokółów sprawia, że młodzież przywyka do poważnego traktowania zebrań i odzwyczaja się od lekkomyślnego uchwalania różnych zobowiązań.

Zresztą w sprawie kierowania organizacją p. Moraczewska nie ma wyrobionego zdania: z jednej strony powstaje przeciwko wszelkiego rodzaju prezesom,—z drugiej zachwyca się kółkiem św. Teresy przy kośc. im. Jezus, gdzie w każdym „dziesiątku

tylko jedna dziesiętniczka ma władzę. Niema żadnych prezesów, vice, skarbniczek i sekretarek, nie robi się ciągłych protokółów. Całe zaś kierownictwo ma w ręku 6 osób zarządu". Autorka więc sądzi dobrodusznie, że ponieważ nikt nie ma tytułu prezesa, więc zarząd w „Kółku" jest zupełnie odmienny od wszystkich innych zarządów. Ale przecież nie idzie o tytuł: czy ktoś się nazywa prezesem, przewodniczącym, prefektem, drużynowym, dziesiętnikiem, czy setnikiem jest rzeczą obojętną o ile ma władzę wykonywania pawnych czynności. Rozsądnemu człowiekowi idzie przecież o kompetencje, a nie o nazwę.

Stopień zaś zaborczości zarządu, oraz zakres jego działania zależy nie tyle od statutu i ustawy, ile od zdolności i wyrobienia poszczególnych członków samego zarządu i organizacji wogóle.—Przechodząc do zarzutu przeciwko tworzeniu biblioteczek, to jest on częściowo słuszny. I tak jest rzeczą bezcelową zakładać je w organizacjach miejskich, rekrutujących swych członków z pośród inteligencji, lub młodzieży uczącej się. Osoby te bowiem istotnie korzystają, względnie mogą korzystać z różnych czytelni. Zaś w organizacjach, których członkowie rekrutują się z warstw robotniczo - rzemieślniczych, tworzenie bibliotek jest dużą pomocą w pracy. Mając bowiem do czynienia z młodzieżą nie nawykłą do czytania, trzeba ją powoli do tego przyzwyczajać, podsuwając odpowiednio dobrane książki. Celu tego nie osiągnie się przez skierowanie nawet do najlepiej zaopatrzonej wypożyczalni,—gdyż po pierwsze: większość młodzieży nie będzia miała czasu chodzić po książki (wypożyczalnie są zwykle otwarte w godzinach pracy, t. j. do 7 wiecz.), po drugie: nie będzie sobie umiała wybierać książek, — wreszcie w czytelniach trzeba płacić: organizacje nie mogą opłacać za swych członków, gdyż cierpią na chroniczny brak pieniędzy; sami zaś członkowie zazwyczaj albo nie będą mogli, albo nie będą chcieli wydawać tych kilku złotych miesięcznie.

Wreszcie p. Moraczewska zarzuca organizacjom, że nie pracują one nad urobieniem charakteru swych członków. Co prawda to autorka wygłasza w tym względzie różne, a zarazem sprzeczne zdania. I tak raz zarzuca organizacjom, że zebrania ich są przeciążone sprawami formalnemi (str. 196), nieco zaś (str. 286) dalej autorka oburza się na czytanie Pisma św. na zebraniach twierdząc, że „młodzież będzie o tych samych kwestjach mówić, ale bez powtarzania za każdem słowem Pan

Jezus i Matka Boska. Dzisiaj są na to inne określenia i tych trzeba używać", — wreszcie zaznacza, że „często należy się wytężyć na coś więcej, niż zachowanie 10 przykazań". Trudno zaiste zrozumieć czego chce właściwie p. Moraczewska, — oraz jakie to są „inne określenia" których trzeba używać zamiast imion Pana Jezusa i Matki Boskiej. Trudno też sobie wyobrazić sytuację, w której trzeba się zdobyć na coś innego, niż na zachowanie Dekalogu. Wszak sam Chrystus Pan powiedział: jeśli „chcesz wejść do żywota, chowaj przykazania" (św. Mat. XIX — 17). Et il ne faut pas être plus catholique que le pape.

Zaznaczę więc tylko jeszcze w tym względzie, że organizacje nie mogą odpowiadać za postępowanie poszczególnych swych członków. Organizacja powinna dać młodzieży możność urobienia swego charakteru i światopoglądu. O ile ktoś nie chce korzystać z tej okazji, to wina spada wyłącznie na niego, a nie na organizację, która przecież nie może nikogo zmusić, aby był takim, lub innym.

Wogóle p. Moraczewska zdaje się zapominać w całym swoim artykule, że organizacją jesteśmy my sami: to też jakimi my jesteśmy, takimi są organizacje do których należymy.

Z. Zbyszewska.

ŻYCIE KATOLICKIE.

Z okazji dziesięciolecia przybycia Piusa XI do Polski.

Dnia 29 maja 1918 r. Mgr. Achilles Ratti, Protonotarjusz Apostolski, kanonik kapituły watykańskiej i bibljotekarz słynnej bibljoteki papieskiej, przybywał do Warszawy w charakterze wizytatora Apostolskiego.

Odnawiała się dawna tradycja legatów rzymskich, którzy od zarania dziejów nawiedzali Polskę, budząc naród do coraz to pełniejszego życia katolickiego i kulturalnego. O pierwszych z nich pisze kronikarz anonimowy, znany pod nazwą Gallusa: „Gdy zaś dość chlubnie powracał z Morawy (Krzywousty), przybył do Polski legat w stolicy rzymskiej imieniem Walo, biskup balwaceński, który za poparciem Bolesława z umiłowaniem spra-

wiedliwości z wielkim rygorem wykonywał przepisy kanoniczne. Uczczony wtedy z należytem uszanowaniem legat stolicy rzymskiej po kanonicznem odprawieniu synodu i udzieleniu apostolskiego błogosławieństwa powrócił do Rzymu; waleczny zaś Bolesław zwrócił się znowu do walki z wrogami". Gallus opowiada przy tej okazji, że legat Walo usunął dwu biskupów. Działo się to w roku 1104—1105. Wizyta rzymskiego gościa bezpośrednio poprzedzała głogowską kampanję. Ale przedtem już Rzym w decydujących politycznie chwilach Polski zabierał głos, wprowadzając ją do powszechnego grona narodu. Tak czynili Sylwester II, Grzegorz VII, Paschalis II, Aleksander III i in. Znamienną dla owych czasów jest odpowiedź, jaką Krzywousty śle do Henryka V cesarza, gdy ten wzywał go do dostarczenia drużyny lenniczej. „Gdybyś z dobrocią, a nie z zuchwalstwam zażądał pieniędzy lub żołnierzy na pomoc Kościołowi rzymskiemu, uzyskałbyś napewno nie mniej pomocy i rady u nas, jaką znajdywali twoi przodkowie u naszych"!

A zatem już w najodleglejszych czasach pod magicznym —rzec by można—wpływem idei papieskiej odzywa się w Polsce głos międzynarodowego solidaryzmu.

Uwypukliło się to przedewszystkiem na zjeździe gnieźnieńskim w słynnym roku 1000. Specjalnie w historji Polski Papiestwo oznacza niepodległy byt narodowy i chętne poczucie wspólności z ogółem problematów i potrzeb cywilizowanego świata i pokoju.

Monsignor Ratti nie przyjeżdżał, by usuwać biskupów, jak ów legat Walo. Przeciwnie, przyjeżdżał, by ich ustanawiać i naznaczać. Obdarzony rozległemi prawami, jako wizytator i obserwator i odnowiciel, przyjeżdżał po stuletniej niewoli, by przywieźć Polsce w zaraniu jej niepodległości nietylko pozdrowienie Piotrowe, ale i czynną odpowiedź na to pytanie, które tyle generacji Polaków zadawało sobie napróżno: „Quo vadis Domine"? Kędy idziesz, kędy chodzisz Panie? Czyli naszą zawsze chcesz omijać ziemię na drogach Twoich dobrodziejstw? Teraz jednak Piotr i Rzym, a z nimi Chrystusowa wolność schodziła do Polski. Jeszcze okupant stał w granicach ziem Polski, ale już wracały do życia pod sprężystym, ufnym i ofiarnym gestem ks. Ratti'ego dawne stolice biskupie: Podlaska, Mińska, Kamieniecka, Wileńska itd. Mnożyła się liczba biskupów-sufraganów, wracały zakony, naukowy ruch katolicki jaśniał, zjeżdżali się swobodnie

biskupi pod bezpośredniem przewodnictwem przyszłego Papieża. Pamiętne są jego pokorne, a jednak nieustraszone słowa, wypowiedziane wówczas na synodzie o swojem posłannictwie.

O czasach nuncjatury ks. Rattie'go, konsekrowanego w Warszawie jako jednego z polskich biskupów, (jak się wyrażał) pisano już tyle wspomnień i uwag, że próżno je znów wspominać, odkładając chyba lepiej sposobność ku temu do chwili, gdy będzie można uczcić ją odpowiednią monografją. Ale o wizytaturze Ks. Ratti'ego mówiono i pisano mniej, a zapomnieć nam jej się nie godzi.

Gdy gołębica, wypuszczona przez Noego, nie wróciła już do arki, jasnem było patryarchowi, że ziemie już oschły i świat się nowy otwiera. Podobnie obecność Księdza Ratti'ego w okupowanej Polsce znaczyła, że z wyżyn Watykanu ujrzano bijącą godzinę wolności, choć oddźwięku jej w Polsce jeszcze niezupełnie wyraźnie słyszano.

Ciekawe byłoby skreślić dzieje odbytych podróży poprzez kolczaste druty terenów wojennych przez wysokich dostojników kościelnych w czasie wojny.

Zanim zebrał się kongres wersalski, Rzym Wieczny duchowo, sprawy narodów już ważył i rozstrzygał. Niejednokrotnie wołał Benedykt XV o sprawiedliwość dla Polski. Jego notę za spokojem i Polską mamy w 1917 r. W tymże roku wypisywał własnoręcznie pod obrazem Matki Boskiej Częstochowskiej słowa dziś już klasyczne: „Polonia semper fidelis"—Polska zawsze wierna. Z tej Polski Monsignor Achilles Ratti przeszedł na Stolicę Piotrową.

Zmieniając sens słów i zachowując konieczne tu rozróżnienie, i Polska rzec może ze swej strony: „Rzym zawsze wierny".

Dwudziestego dziewiątego maja 1918 roku musiały zadrżeć w swych zniszczonych grobach prochy dwu nuncjuszów papieskich, zmarłych i pochowanych w XVII wieku — wieku klęski, w dawnej nuncjaturze warszawskiej przy ulicy Długiej.

A my dziś powiemy Piusowi XI-mu, Wizytatorowi Polski, Apostolskiemu podróżnikowi po Polsce odradzającej się, Rzymskiemu Notarjuszowi i świadkowi wskrzeszenia Polski — ad multos annos!

Ojcze Święty, panuj Kościołowi lat wiele!

Lato duszy.

Skwarno... Słońce wprost nad głowami w pełni swego blasku i majestatu, jak wielka rozpalona kula ognista, nieruchomo zawieszona w bezkresnych przestworzach, króluje niepodzielnie na drgającym w wielkiej, upalnej ciszy firmamencie.

Nie jest to cisza bezwładna i bierna, ale jakby skoncentrowanie energji wszechświata, wielką jakąś, przepotężną mocą skutej i skondensowanej w niebotycznym basenie powietrznym. Nie widać ruchu maszyn, ani niespokojnej bieganiny pracowników, co chwila patrzących na zegary i manometry, by według nich normować siłę napędu, czy temperaturę, czy wysokość ciśnienia w olbrzymich kotłach, które jak legendarne smoki obsiadły matkę-ziemię, ssąc z niej ożywcze fluidy i twórczą moc, przekazywaną dalej zwojami kabli i drutów, zmienianą i pomnażaną potysiąckroć transformatorami i multiplikatorami przeróżnych stempli i systemów. Nic sztucznego, nic trwożnego i niepewnego, jakby bez nerwów i wstrząśnień to szalonej radości, to rozpaczy czarnej w oczekiwaniu pierwszej iskry maszynowej, która zadecyduje o zwycięstwie lub klęsce na całej linji... Energja i moc skupiona, rozżarzona do białości, działa sama bez sztucznych przewodów, promieniejąc dokoła aż w najodleglejsze zakątki ziemskie i przetwarzając bezszelestnie, ale z nieomylną i niezwyciężoną, nieodpartą siłą wszystko w nowe, coraz dojrzalsze formy. Cisza pracy cudo-twórczej, w pełnym blasku białego dnia, bez zasłony żadnej, ze szczerością i prostotą, ale nie tyle ową rozbrajającą, dziecięcą, ile raczej z tą otwartością pełnego treści, o nieugiętej mocy przekonania, gestu wodza, który już wszystko przemyślał, przygotował, przewidział i na świat boży wyprowadza nieomylnie i bez najmniejszego drgnięcia, wahania czy wątpliwości.

I wszystko działa i potężnieje z każdą chwilą, coraz większą energją i żywotnością napełniając chlebonośne kłosy, krasząc je szkarłatem i błękitem kwiecia, różowiąc i wybielając uśmiechające się zpośród listowia drzew cukrzejące owoce... a gospodarz domu obchodzi tylko swe niwy falujące i ścieżki sadowe z osłonecznionem, choć spalonem obliczem, patrząc tylko w niebo od czasu do czasu, podpierając ociężałe pod obfitością owocu gałęzie, wyrywając chwasty, przygotowując

sierpy, kosy i maszyny na niedalekie żniwa i uprzątając śpichrze na przyjęcie przyszłych plonów, które z każdym dniem coraz bliżej już są podwoi stodolnych.

Cisza i moc... jasność jarząca, żar i spokój... a wewnątrz cud boży, ożywiający martwe ziarno i bezbarwny, cierpki miąższ owocowy... Pełne lato...

Przychodzi także lato duszy spracowanej po wielu poprzednich okresach wysiłku śmiertelnego i męki twórczej myśli, gdy już skondensowało się w duszy wszystko i umocniło budowanie zewnętrzne.

Ileż-to dni, tygodni, miesięcy i lat trzeba było użyć, by dojść do tej syntezy ostatecznej! Ile osobistych załamań, zmartwychwstań, doświadczeń, analiz i pogłębień! Ile bolesnych skurczów, które jednak wykuwały każdem uderzeniem granitową moc ducha i każdy rys twardego, męskiego, rzymskiego oblicza człowieka wewnętrznego.

Przeminęło już to wszystko. Minęła wiosna ze swą pogodą zmienną na każdy dzień, ze swem subtelnem, dziecięcem jeszcze źdźbłem, chylącem się za każdym powiewem najlżejszego wiatru. Daleko w tyle pozostały dawne, zawsze niepewne godziny i dnie, przez które się szło jakby po omacku, szukając drogi końcem koszturu podróżnego, obawiając się na każdym kroku nieprzewidzianego ciosu. Każde zakrycie jasnego słońca, lada kamyczek przypadkiem rzucony, lada drobna stopa bawiącego się w piasku przydrożnym dziecięcia—wywoływały wstrząsy gwałtowne i groziły nieraz zagładą.

Tak było trzeba wtedy choć jednej ręki bratniej, jasnego wejrzenia i ciepłego tchnienia siostrzanej duszy, by umocnić zamierające na każdy dzień źdźbło, podnieść szlachetne zapędy i rozdmuchać iskierkę, błyszczącą na dnie skłonnej do entuzjazmu i wszelkiego zapału duszy przyszłego bohatera i twórcy.

Nie zawsze się ta ręka i dusza bratnia znalazła. Ale Bóg czuwał... może umyślnie w walce, niepokoju, trudzie i zwątpieniu wychowywał wybraną duszę. Ze słońca szła ciągle nowa ożywcza siła, ptaki niebieskie wlewały swe proste ale pełne bożej harmonji melodje, czasami zaleciało mądre słowo mistrza, przechodzącego obok z grupą chciwych wiedzy uczniów, dyskutującego z nimi o wielkich prawdach; czasami padł z ust prostaczków wykrzyknik, w którym się przebijała nieskończoność, czasami głos dziecięcy odbił echo przedwiecznej Miłości. To

wszystko działało, padając na spragnioną strawy, a pełną dobrej woli, choć słabą i nieświadomą jeszcze wielu tajemnic, rozbudzoną pędem ku temu co dobre i piękne, duszę — a później przyszedł mistrz-rolnik, wziął w opiekę rozwijającą się roślinkę i wzbił ją ku niebu, odsuwając chwasty, broniąc przed napastnikami, pojąc wilgotnością i umacniając tem, co umysł ludzki w swym genjuszu wymyślił, wnikając i wmyślając się w najtajniejsze odruchy wszelkiego życia.

A później — już pierwsze kroki samodzielne, zrazu, jak zwykle, nieśmiałe i trwożne, ale stopniowo, po zbadaniu gruntu i przekonaniu się o jego solidności, coraz mocniejsze i twardsze—aż wreszcie własny hymn... radości, wiary, tryumfu i żądzy czynu.

I ten czyn poszedł wślad za pieśnią duszy. Potężny czyn, tętniący życiem, mocą wykonania, siłą twórczą.

Poszedł cały szereg czynów, wypływających wprost z duszy już dojrzałej, w blasku pełnego słońca, zsyntetyzowanej w swej myśli i postanowieniu, promieniującej dokoła pełnią swej własnej– z Boga i mistrzów i życiowych doświadczeń czerpanej—energji.

Nastało lato duszy. Wszystkie czynniki wewnętrzne i pracy organizacyjnej dojrzały—szły już zawsze naprzód swym własnym pędem, siłą zewnętrznego tchnienia, mocą spontanicznego promieniowania. Spokój skwarnego nieba, umacniający sam przez się wszystko dokoła i przetwarzający wszystko w dojrzałe kłosy, panuje wszechwładnie.

Duch, który po wielu studjach, rozmyślaniach, walkach i utrudzeniu znalazł syntezę i jasną drogę przed sobą, dzieło promieniujące z tego zbiornika myśli i woli zdecydowanej, kraszą się w słońcu południowem jasnego nieba. Jeśli przyjdzie burza—to po to tylko, by odświeżyć palące powietrze i obmyć z kurzu listowie drzew, czasami ręka nieprzyjazna zerwie jeden lub drugi piękny kwiat i rzuci go potem w rów przydrożny, ale stoi całość nienaruszona, szumiąc potężnie swój hymn ku Bogu i słońcu, a na radość dusz ludzkich na ziemi.

Ale niekażdy tego lata doczeka, albo ujrzy swe lato sierpniowe wśród kłębów dymu od pożogi powszechnej i wśród rozdzierających krzyków rozpacznych.

Módlmy się o lato dusz... by ich słońce swym blaskiem i żarem przyspieszyło dojrzewanie owocu męki i trudu twórczego ofiarnych bojowników ludzkości. *Ks. A. Bogdański.*

O ducha katolickiego prasy polskiej.

Mało to, że mamy szereg pism polskich, codziennych i perjodycznych, redagowanych szczerze po katolicku. Mało to, bo zbyt wiele jeszcze mamy pism, jawnie czy ukrycie ale jednako zjadliwie napastujących katolicyzm i katolików, szerzących nienawiść do wszystkiego co katolickie, a jak najnamiętniej zwalczających harmonijne działanie Kościoła z Państwem.

Katolikom nie wolno patrzeć na to obojętnie, bo obojętność zbyt łatwo mogłaby pociągnąć za zobą wyraźną współwinę w obniżeniu powagi katolicyzmu w Polsce. Aczkolwiek obecna wojna przeciw Kościołowi w Polsce jest tylko papierową, gazetową, przedstawia się ona jednak nie mniej groźnie od dawnych krucjatowych wypraw saraceńskich, bo bez przesady uważać ją można za wstępne, niejako gazowe przygotowanie terenu do późniejszej walki o charakterze sowieckim czy meksykańskim. Z tego więc względu z wielkim namysłem trzeba się zabrać do walki odpornej, by była ona nietylko w pomyśleniu i zamiarze stanowczą, ale przedewszystkiem skuteczną.

Atak nasz więc zwrócić należy przeciw prasie wrogiej katolicyzmowi. Nie wystarczy tu w miejsce każdej bezbożnej szmaty stwarzać nowe wydawnictwo uczciwie katolickie, bo nie każdy z czytelników złej prasy czyta i dobrą, ale wszystkie wysiłki należy skierować ku osłabieniu wpływów złej prasy, ku uniemożliwieniu wogóle jej egzystencji.

W byłej dzielnicy pruskiej bojkotowano niemców i Wielkopolska jest dziś dzielnicą Polski, bojkotowano tamże i żydów i dzięki temu w ziemiach zachodnich prawie że niema kwestji żydowskiej. Podobny bojkot, podobnie skuteczny, należy nam stosować i wobec prasy wrogiej katolicyzmowi.

Dobry katolik wyższej kultury z natury rzeczy nie będzie abonował pism, częściej czy rzadziej zadzierających z Kościołem. Ale szerokie masy ludności, aczkolwiek do katolicyzmu niemniej przywiązane, nieraz utrzymują pisma wręcz wrogie Kościołowi. Do artykułów takich sprzecznych z dobrem Kościoła, ogół do pewnego stopnia już tak bardzo się przyzwyczaił, że musi zajść coś osobliwego, by opinja publiczna szerzej zajęła się niekatolickim duchem danego pisma.

Atoli w interesie katolicyzmu leży niedopuszczanie do plugawienia świętości naszej religji nawet najdrobniejszą ironizacją,

czy niepowołaną krytyką, więc byłoby pożądanem, by prasa polska otwarcie i szczerze bezwzględnie katolicka, zaprowadziła stałą rubrykę n. p. pod tytułem „Przegląd defenzywy katolickiej", rejestrujący każde prasowe uchybienie godności katolicyzmu. Ogłoszenia tego rejestru sprawią, że ogół polski, w swej przewadze katolicki, pocznie nareszcie pisma segregować na dobre i niedobre, bo wrogie katolicyzmowi Tym sposobem ogół nauczy się poznawać dawki złości ludzkiej, zastrzykiwanej prawie że niespostrzeżenie czytelnikom prasy wrogiej nauce Chrystusa. Tego rodzaju systematyczne komentowanie bibuły nieodzownie przyczyni się do powolnego ale stale wzrastającego odrzucenia efektów czczego krasomówstwa prasowego, aż dojrzeje wreszcie wyrok orzekujący o szeregu pism i wydawnictw, że należy ich nie czytywać, bo są niekatolickie.

Polska w swej przygniatającej większości była, jest i będzie katolicką, to też pisma, które raz zdobyły sobie markę niesprzyjania katolicyzmowi, wkrótce będą musiały dokończać swego żywota. Chodzi tylko o wyraźne wypowiedzenie się opinji ogółu katolickiego przeciw swym prasowym wrogom, by pod żadną maską nie mieli wśród nas swych siedzib, siedlisk najniebezpieczniejszej zarazy, bo grożącej zbawieniu duszy własnej i całego narodu. *Cz.*

Z kresowej placówki w Maciejowie.

„Mirabilis Deus in sanctis suis" powiada Pismo Święte. Słowa te przystosować można do osiedla sióstr Niepokalanek w Maciejowie na Wołyniu. Dziesięć lat nie minęło jeszcze od ich przybycia na Kowelską ziemię, a już plony przeobfite wieńczące ich życie pełne zaparcia i dzielne zabiegi, wskazują, co może w imię miłości Boga i bliźniego podjęta praca, choćby w warunkach najtrudniejszych.

Wśród łuny pożarów wojennych i zgliszcz spustoszenia wzniosły się:

„nad te wioskowe padoły...
Broniąc kraj, wiarą ducha i pięknością".

(Słowacki—Zawisza Czarny).

Pięknością cochwilowej ofiary i niezłomnej woli!

W r. 1919 przyjechała ks. Marja Lubomirska z Ławrowa na Wołyniu do klasztoru Sióstr Niepokalanek pod Warszawą prosić Zgromadzenie o fundację w Kowelskiem dla ratowania całych zastępów bezdomnych dzieci, nieznanego pochodzenia, odnajdywanych po wsiach i polach okolicznych przez kwaterujących tamże żołnierzy.

Zgromadzenie wysłało dwie siostry, które natychmiast otworzyły w Kowlu Żłobek i Ochronę dla opuszczonej dziatwy i bezdomnych dziewcząt. Lokal jednak okazał się nieodpowiednim i ciasnym; całe urządzenie wykluczało możliwość rozwoju, to też po czterech miesiącach przeniosły się siostry do odległego o 30 km. Maciejowa.

Dawnv pałac Miączyńskich i drugi gmach, oba zamienione na szkołę popów, opustoszały po ich ucieczce zaraz z początkiem wojny. W chwili przybycia Sióstr budynki te przedstawiały widok ziejący przeraźliwą pustką i zniszczeniem. Ani jednego okna, żadnych drzwi, porozwalane piece — a tu zima za pasem, gdyż przenosiny odbyły się z końcem października. Zdecydowano zacząć odnową od jednego pokoju, potem względnie odrestaurować drugi i tak dalej.

I czegóż nie dokażą miłość i ofiarna praca?

Siostry dniami całemi oczyszczały pokoje własnemi rękoma, nie uchylając się od żadnej, choćby najbardziej odrażającej roboty. Zaraz też zjawiły się dzieci, narazie 70, z tego 17-cioro dwu do trzytygodniowych. Maleństwa te otoczone zostały macierzyńską opieką i staraniem, ale w całej okolicy nie było ani jednej krowy. Pomocnemi okazały się wtedy organizacje amerykańskie, które ten brak dotkliwy zastąpiły mlekiem kondensowanem.

Lecz nie na tem koniec zbożnej działalności Sióstr.

O kilka kroków od pałacu wznosi się kościół, zamieniony od jakich 40-stu lat na cerkiew prawosławną. Staraniem Sióstr przywrócono świątynię kultowi katolickiemu, a ten sam czcigodny kapłan, już dziś nieżyjący ks. Szuchajski, który z rozdartem sercem zamykać musiał kościół pod moskiewską przemocą, zaproszony przez Siostry, pierwszą Mszę świetą znów w niej odprawił. Na podniosłą uroczystość przybyły władze Kowelskie i nikt z obecnych nie zapomni dojmującej święfością chwili, gdy Chrystus Pan w Przenajświętszej Hostji poraz drugi ołtarz swój i przybytek brał w posiadanie.

I błogosławił Bóg pracy i staraniom Sióstr. Robota organizacyjna wrzała, okna i drzwi zapełniały coraz liczniej pustką czerniące się otwory, ogród uprawiano, dzieci się chowały.

Lecz dzieło Boże, aby rosło i rozwijało się potrzebuje koniecznie sankcji krzyża — nie dał mu Pan czekać długo.

Przyszła nawała bolszewicka i zdawało się, że całą wytężoną działalność Sióstr pogrzebią gruzy. Trzeba było uchodzić wraz z drobną dzieciarnią. W jakich warunkach, z jakiem narażeniem zdrowia i życia pilotowały w przepełnionych, otwartych wagonach maleństwa, któremi się zaopiekowały, to Bóg jeden wie i policzy.

Z podziwem patrzyli na ten heroizm zaparcia żołnierze, współtowarzysze podróży i w ciężkiej drodze do Warszawy niejedno im Siostry zawdzięczają. Nie obeszło się też bez niebezpiecznych przygód. Tak np. jechało kilka Sióstr z gromadką najmłodszych w dużym, otwartym wagonie. Każda z nich kolejno czuwała w nocy. Nad ranem, po odbytej warcie, zdrzemnęła się dyżurna. Wtem budzi ją dziwny poświst lokomotywy. Przeciera oczy i widzi jak jej towarzyszka wyrzuca jedno po drugiem maleństwa, stojącym już na torze zakonnicom. Wyskakuje i ona i spostrzega nadjeżdżającą pędem na wagon lekomotywę, prowadzoną przez maszynistę bolszewika, jak się później okazało.

Cała ta karawana: Siostry, dzieci, krowa i kobyłka znalazły gościnne i braterskie przyjęcie w domu Zgromadzenia pod Warszawą. Przełożona zaś z jedną z zakonnic bezzwłocznie wróciła na Wołyń, strzec i bronić z takim trudem zorganizowanej placówki.

Gdy po przyjeździe do Maciejowa zaszły do kościoła, tak niedawno wydartego prawosławiu, przedstawił im się rozdzierający serce widok. Posadzka zerwana, ołtarze poprzewracane, trumny Miączyńskich otwarte przez łupu chciwych barbarzyńców; w klasztorze również spustoszenie: maleńka kapliczka w ohydny sposób sprofanowana. Wszędzie klęska pogromu i widmo głodu. W całej okolicy pożywienia żadnego. Raz zajechały słaniające się z głodu Siostry do Chełma. W kantynie żołnierskiej poprosiły o trochę gorącej strawy i z radością przyjęły z rąk litościwego żołnierza nadpoczętą miskę jego i łyżkę, aby się posilić.

Lecz niepospolitego ducha, to są polki.

Zaledwie oczyściły i urządziły kilka pokoi, a znów otworzyły ochronkę, niebawem potem szkołę powszechną, najpierw dwu potem czteroklasową. Żłobek przeniesiono do Kowla, gdy maleństwa wróciły z Szymanowa, a w Maciejowie powstała prawdziwa kuźnia myśli i pracy katolicko-narodowej.

W r. 1921 otworzyły Siostry prywatne seminarjum nauczycielskie, dzisiaj mające prawo publiczności i rozsyłające na najbardziej zagrożone placówki pracownice głęboko ideowe, prawdziwe Boże nauczycielki szkół powszechnych.

Obok seminarjum powstała szkoła kroju ze specjalną wykwalifikowaną instruktorką i szkoła 7 klasowa powszechna dla przychodnich z internatem dla naszych własnych „rodzonych" jak mówią Siostry. Są to te dzieci, które bez rodzin, poznajdywane gdzieś po polach i chatach zupełnie zależą od miłości chrześcijańskiej i ofiarności zakonnic. A jest ich do pięćdziesięciu.

Ale Pan Bóg, który się nie da przewyższyć we wspaniałości, cudownie wciąż pomaga. Nie brakuje niczego, życie skromne ale dostatnie, kaplica nowa, obszerna, ukochanie i centrum całego klasztoru; jest i na ubranka zimowe i świąteczne podarunki dla „rodzonych".

Klasztor—dom Boży szeroko otwarty, nietylko przygarnia ale wyszukuje wszelką nędzę w promieniu kilku mil dokoła.

Sto z górą osób przeszło z prawosławia na katolicyzm w białej kapliczce poświęc nej Marji Niepokalanej, i to nie dzieci tylko, ale dorosłych kobiet i mężczyzn.

Ślicznie rozwija się w szkole powszechnej krucjata eucharystyczna. Dzieci-apostołki, często prawosławne, łączą się z Panem Jezusem w Komunji duchownej, a nią wzmocnione umartwiają się nie na żarty, by otrzymać łaskę nawrócenia dla brata, ojca, czy szwagra.

Niedawno dwie małe pierwszoklasistki wyszukały na wsi kilkoro niechrzczonych, a już większych dzieci, dziś, niestrudzona opiekunka wszelkiej biedy i nędzy duchowej czy materjalnej, Przełożona Zakładu, czyni starania, by im zapewnić łaskę chrztu świętego.

Inna znów dziewczyneczka, 7-mioletnia, dnia pewnego klęczała długo przed Najśw. Sakramentem w kaplicy. Gdy odeszła, zapytała się jej przełożona, o co tak serdecznie się modliła. „Wynagradzałam" odrzekła. I opowiedziała Siostrze, jak

to czytano im rano o zbójcach, którzy napadli na dobrego tatusia wracającego do swoich dzieci. Poszła więc wynagradzać Panu Jezusowi za winę niedobrych zbójców.

To znów proboszcz, głęboko wzruszony, dziękuje publicznie siostrom od ołtarza po rezurekcji wielkanocnej za opiekę duchowną w czasie długiej i bolesnej choroby.

Najpełniej jednak rozwija się apostolska działalność Sióstr w opiece, którą otaczają byłe uczenice czy to z Seminarjum czy ze szkoły powszechnej.

Dla nich, zakład w Maciejowie, to drugi, czasem jedyny dom rodzinny. Z zupełną ufnością zwracają się do swych dawnych wychowawczyń w każdej potrzebie. W braku posady czekają na nią czasem po kilka miesięcy w klasztorze, te, które bliższych krewnych nie mają, na Święta zjeżdżają do klasztoru, nawet brak sukienki, zapotrzebowanie nowych bucików opiera się o klasztor przy zbytniej szczupłości funduszy.

A wieleż to razy poratowały siostry przy trudnościach zawodowych, albo postarały się o przeniesienie z nieodpowiedniej posady itd.

Jednem słowem niema biedy moralnej czy materjalnej, niema wieku i prawie niema stanu, którymby w domu maciejowskim nie ofiarowano pomocy. A co po tysiąckroć podnosi wartość daru, to fakt, że bardzo często nie proszący wyciągają ku Siostrom ręce, ale one wyszukują i przygarniają potrzebujących na duszy czy ciele.

Tak czynił Chrystus Pan, kiedy w wędrówkach swych po Galilei niósł uzdrowienie chorym i osłodę cierpiącym.

Toteż każdy, kto w jakimkolwiek charakterze czy jako gość oczekiwany, czy jako współpracownik lub zniewolony biedą przekroczył furtę klasztorną, opuszcza ją, po krótszym albo dłuższym pobycie. pokrzepiony na duchu z większą wiarą w dobroć ludzi i łaskawe miłosierdzie Boże.

I oto wśród obfitego żniwa kłoszącego się na łanach apostolskiej pracy zakładu Maciejowskiego: plon plonów.

Niechże Bóg błogosławi tej cudownej w imię Jego miłości powstałej placówce i nadal niechaj Sam będzie za trud i ofiarę najsłodszą nagrodą.

Ego ero merces tua magna nimis! (Gen. XV). *C. S.*

Powrót Zakonu OO. Benedyktynów do Polski. Pierwsze fundamenty.

Dzień 3 Maja, dzień Święta Narodowego, który zdobi polskie domy w Orły i purpurę, a serca uciemiężone niewolą, co rok świeżą rozpiera radością, był w tym roku dla kościańskiej ziemi w Wielkopolsce podwójnie uroczystym. Oto w prastarej siedzibie benedyktyńskiej Lubiniu położony został kamień węgielny pod pierwsze polskie benedyktyńskie Opactwo w odrodzonej ojczyźnie. Bóg sam wszechmocną ręką swoją przybrał ten zakątek prastarej Piastów ziemi w niezwykłą urodę. Łąki i żyzne pola bramowane są pagórkami zielonemi i wielkiemi oczami modrych jezior. Dworki i chaty przyczepić się mogły do skłonów wzgórz. Na wyżynie górując nad okolicą osiedlili się pierwsi Benedyktyni za czasów bodaj Kazimierza Odnowiciela, dla swych może licznych klasztornych fundacji—Mnichem zwanego. Z daleka widoczną jest przez nich stawiana okazała Lubińska świątynia. 3 maja smukła wieża powiewała od rana chorągwiami narodowemi i papieskiemi. Przyroda rozlała naokół majowe swe barwy soczystej zieleni i puszystej bieli drzew owocowych. Pod trzechsetletnim kasztanem olbrzymem, w dziedzińcu w którym w granicie wykuci dawni stoją opaci, odprawiali synowie św. Benedykta Mszę polową w rocznicę Konstytucji 3 Maja. W południe Ksiądz Kardynał-Prymas Polski zaszczycił Lubin swem najdostojniejszem przybyciem, i pierwszy złożył podpis na pergaminowym akcie, który miał być potem wmurowany z kamieniem węgielnym w fundament nowego Opactwa.

O piątej samochody, powozy i bryczki ze wszech stron zbiegły się do stóp wiekowych murów Lubinia. Widzowie na chwil parę przeniesieni zostali w dawny Bolesławowy wiek, gdy z bram świątyni wyszedł ku budowli Najprzewielebniejszy Ojciec Ernest Vykoukal, Opat czeskich i polskich Benedyktynów, z asystą w białych gotyckich dalmatykach, otoczony zakonnikami w fałdzistych obszernych czarnych płaszczach i licznie zgromadzonem Duchowieństwem z okolicy. Chóralny liturgiczny śpiew łaciński, pergaminowy dokument, na którym podpisywali się uczestnicy dostojnej chwili; wreszcie i nadewszystko mowy Opata Ernesta Vykoukala i Ojca Józefata Ostrowskiego, stworzyły nastrój dziejowy. W chwili, gdy złożony i pobłogosławiony ręką Dostojnika

Kościoła pergamin i kamień zlewały się z murem nowego klasztoru, jako rękojmia nowych wielkich dla Lubinia czasów, z mroku przeszłości wyraźne przed oczyma naszemi wyrastały obrazy. Ujrzeliśmy Wielkopolskę naszą. Polanna jeszcze ziemica, porośnięta w odwieczne dęby i buki. Mieszko u granic ziemi oczekiwał czeskiej królewskiej córy, a z nią znamienia Krzyża świętego. Pierwszy Benedyktyn przybyły do Polski, św. Wojciech, czech, rozpoczynał dzieło polskiej kultury. Za nim szeregi synów św. Benedykta zwołane przez Chrobrego i pierwszych jego następców z Czech, z Belgji i Lotaryngji, karczowały dąbrowy, zapuszczały lemiesz w polany, stawiały domy i świątynie, malowały przedziwne mszały i psałterze. W Kazimierzowym czasie drewniane grody klasztorne urosły w murowane Opactwa; wiedza, praca, działalności benedyktyńskie rosły ze sławą z mocą i wpływem Polski przez Jagiellońską świetną epokę, i w bohaterskim hetmańskim czasie. Przesunęła się przed oczami naszemi na chwilę i klęska Polski, a z nią rozproszenie Benedyktynów i zamknięcie ich klasztorów w trzech zaborach, na to, by jak hejnał zwycięzki zabrzmiały słowa, że z wolnością Ojczyzny powrócili do kraju synowie św. Benedykta.

Przy końcu odczytał Ojciec Opat, wśród ogólnego wzruszenia telegram i błogosławieństwo papieskie.

Po ukończonej uroczystości zaprosił Najdostojniejszy Opat zgromadzonych na podwieczorek w stare mury, pozostałe po dawnem Opactwie. Przeczytano telegramy od Pani Prezydentowej Mościckiej i od Wojewody Poznańskiego. Imponujące zbiory bibljoteczne zainteresowały przybyłych.

Wśród zgromadzonych zauważono Pana Stanisława Narajewskiego, zastępcę Wojewody Poznańskiego, Starostę Kościańskiego i licznych przedstawicieli Ziemiaństwa, sfer wojskowych, urzędniczych, zmięszanych z gęsto zapełniającemi dziedziniec klasztorny rzeszami pobożnego ludu. *A. B.*

* * *

Tegoż dnia we czwartek 3 Maja b. r. odbyło się w Lubiniu poświęcenie kamienia węgielnego pod nowy klasztor OO. Benedyktynów, dokonane przez Najprzewielebniejszego Imci Księdza Opata Benedyktynów czeskich i polskich Ojca Ernesta Vykoukala. Obrządek ten wielu z uczestników wydał się jakby ewokacją pierwszych lat Państwa polskiego, gdy z Czech, wślad za Dąbrówką i pierwszym znanym Benedyktynem w Polsce, św. Woj-

ciechem, wkraczały na ziemie lechickie łalangi „czarnych mnichów", by kraj ten Chrystusowi poddać i do zachodniej podnieść kultury. O obrządku tym podaliśmy w poprzednich wierszach.

Druga uroczystość, ściślej kościelna, zgromadziła w temże miejscu w następną niedzielę (6 Maja) niezliczone rzesze, których mimo natłoku pomieścić nie była w stanie starożytna Lubińska świątynia. Oto w dniu tym wyżej wymieniony ksiądz Opat, z uroczystym ceremonlałem, właściwym Biskupom, konsekrował Ołtarz Wielki w tym świętym przybytku. I tu przedziwne, symboliczne obrządki i śpiewy wskrzeszały w umyśle ludzkim zdarzenia z zamierzchłych, bardziej jeszcze, bo biblijnych czasów, Nowego a nawet Starego Testamentu.

O godz. 9-tej wszedł Ksiądz Opat w prałackich szatach, poprzedzony przez kapelana niosącego pastorał — znak władzy opackiej nad klasztorem i klasztornym kościołem. Po przybraniu się w kapę o wzorzystych ręcznych haftach bardzo misternej roboty i przywdzianiu na głowę infuły, odmówił z otaczającymi go zakonnikami litanję, by wezwać na ten Ołtarz opiekę wszystkich świętych. Trzech z pomiędzy nich: św. Józefata biskupa i męczennika polskiego, św. Benedykta zakonników kościoła zachodniego Patryarchę, wreszcie patrona Warszawskiej naszej Stolicy, św. Klemensa Dworzaczka imiona po dwakroć w litanji powtarzane były; Relikwje ich bowiem zamknięte w marmurowej płycie ołtarza być miały. Błogosławił potem i mieszał Ksiądz Opat sól, wodę popiół i wino. Sól w tradycji liturgicznej katolickiej rozmaitych rzeczy jest symbolem: tu oznaczać ma nieskazitelność i żyzność; woda symbolem jest w Kościele czystości i łaski, w tem też znaczeniu tu jest brana. popiół oznacza pokutę, cierpienie i pokore; używany tu jest, by przypomnić, że na Ołtarzu składana być ma Ofiara przebłagania za grzechy świata; wreszcie wino, symbolizuje, siłę, radość i życie, które z Ołtarza na wiernych obficie spływać mają. Użycie tych czterech przedmiotów przy konsekracji Ołtarzów i Kościołów sięga bardzo dalekiej przeszłości: przypomina zdarzenie, jakie czytamy w Starym Testamencie, gdy Eljasz dla pokazania wyższości i potęgi Boga jedynego nad fałszywe bożki, ułożył na ołtarzu ofiarę do całopalenia, poczem wodą oblać nakazał ołtarz, ofiarę i wszystko wokoło; a gdy wzniół modły do Boga, słońce przedtem chmurami zakryte, ukazało się i wnet spadł ogień z nieba i pożarł ofiarę, drewna pod nią i sam ołtarz w popiół zamienił, a wodę

w koło wysuszył. Podobne obrządki służą do konsekracji naszych ołtarzów. Po skropieniu bowiem wielokrotnem mieszanym owym płynem, którego Kościół przynajmniej do VII-go wieku używa, i który „Wodą Gregorjańską" zwiemy; po kilkakrotnych namaszczeniach Olejami świętemi i rozlaniu ich nawet po całej płycie Ołtarza, zapalił Konsekrator w 5-ciu miejscach świeczki, przy których ułożone były spore ziarna kadzidła; w tej chwili wzniósł się z Ołtarza słup dymu wonnego i napełnił świątynię całą, podczas śpiewu rzewnej a błagalnej do Ducha świętego modlitwy. I zdało się niejednemu iż uroczysta chwila Zejścia Ducha świętego w Wieczerniku się, powtarza. W poważnej, a tak wzniosłej formie prefacji streścił potem Konsekrator znaczenie całego dokonanego obrządku. Po dwóch jeszcze namaszczeniach: boków płyty ołtarzowej i spojenia z jej podstawą—oczyszczono i obtarto Ołtarz, by do pontyfikalnej Mszy go przysposobić.

Całość obrządku tego wskazywała, jakiem uszanowaniem Kościół święty otacza Ofiarę Mszy świętej, gdy dopiero po tak wielorakich obrządkach i modlitwach pozwala na użycie Ołtarza do jej odprawiania. Po Mszy św. za osobnem pozwoleniem Ojca świętego, udzielił Ksiądz Opat zgromadzonym Błogosławieństwa Apostolskiego i na tem się zakończyło nabożeństwo dnia tego.

Konsekracja ta Ołtarza nie jest pierwszą w Lubiniu. Czytamy bowiem w ocalałym ułamku starożytnych, bo XIII-go wieku pochodzących Roczników, iż w roku 1145 konsekrował niewiadomej stolicy biskup imieniem Konrad. w Lubiniu Ołtarz pod wezwaniem Matki Bożej, Patronki dotąd miejscowego kościoła, musiała to być prawdopodobnie owa, romańskiej architektury świątynia, z kamienia polnego, której mury, i dwie arkady okienne, wreszcie fragmenty słupa do naszych dotrwały czasów. Kto i kiedy konsekrował kościół późniejszy, ostrołukowy, czyli gotycki, nie da się stwierdzić obecnie, wobec rozproszenia archiwalij i książek klasztoru. Po zamknięciu tegoż w 1834 przez władze pruskie do niedzieli 6 maja tak wielki Ołtarz, jako inne w świątyni Lubińskiej miały jedynie portatyle, czyli przenośne konsekrowane kamienie.

Kongregacja Sióstr Misjonarek Matki Boskiej Afrykańskiej.

Pragnąc jaknajprędzej pozyskać dla Chrystusa Pana olbrzymi ląd afrykański, wielki misjonarz wieku dziewiętnastego, ks. kardynał Karol Lavigerie, założył dwa zgromadzenia zakonne, przeznaczone specjalnie do pracy misyjnej w Afryce. Pierwszem z nich było Zgromadzenie Ojców Białych, drugiem Kongregacja Sióstr Misjonarek Matki Boskiej Afrykańskiej.

O pobudkach, które skłoniły wielkiego tego apostoła do założenia owej żeńskiej instytucji zakonnej, co miało miejsce w 1869 r.,—pisze on sam w liście, jaki skreślił w 1886 r. „Pomimo gorliwości misjonarzy—wysiłki ich nie wydadzą nigdy pożądanych owoców, o ile nie będą oni wspierani przez kobiety apostołki, te bowiem tylko mogą przybliżać się swobodnie do kobiet muzułmańskich, utrzymywać z niemi stosunki przez spełnianie względem nich czynów miłosiernych, koić ich bóle, wzruszać ich serca oraz przedstawiać im ich poniżenie, przeciwstawiając mu wyżyny moralne, na które wyniesiona została kobieta chrześcijańska".

Z pomocą Bożą Kongregacja Sióstr Misjonarek Matki Boskiej Afrykańskiej, zwanych popularnie Siostrami Białemi kardynała Lavigierie, rozwijała się znakomicie, wskutek czego Stolica Apostolska zatwierdziła je ostatecznie dnia 14 grudnia 1909 r. W dobie bieżącej Zgromadzenie to posiada swe placówki w Afryce północnej (Algier, Kubylja, Tunis, Sahara), w Afryce zachodniej (Sudan, Górna Wolta) i w Afryce centralnej (okolica wielkich jezior). W pierwszym rzędzie poświęcają się Siostry Misjonarki wychowaniu dziatwy, szczególnie dziewcząt, następnie czynią wycieczki do wiosek w okolicach stacyj misyjnych w celu katechizacji pogan, opiekują się chorymi w szpitalach, lecznicach, leproserjach czyli schroniskach dla trędowatych, a wreszcie przygotowują zakonnice krajowe. W liczbach działalność Sióstr Białych, kardynała Lavigerie, przedstawia się okazale, gdyż pod okiem ich wychowuje się 52 000 dzieci, z opieki lekarskiej korzysta rocznie przeciętnie 1.000.000 cierpiących.

Obecnie Siostry Misjonarki Matki Boskiej Afrykańskiej zamierzają założyć dom swój także na ziemiach polskich, by powiększyć szeregi pracownic na niwie misyjnej z pomocą powołań polskich.

J. M. Chudek.

Dobra prasa.

Walka z komunizmem.

Ostatnie wybory do Sejmu i do Senatu świadczą o wzroście wpływów komunistycznych w kraju—to dowód, że komórki bolszewickie pracują niezmordowanie. Społeczeństwo nasze, które zdaje sobie chyba sprawę ze skutków bolszewickiej propagandy, winno wszystko uczynić dla zwalczenia tej potwornej zarazy. Intesywnej, energicznej propagandzie komunistycznej należy przeciwstawić niemniej energiczną naszą *kontrpropagandę.*

Jedną z takich placówek kontrpropagandowych jest „Dobra Prasa", która wespół z doskonale redagowanym miesięcznikiem „Walka z bolszewizmem (Warszawa, Widok 1.) prowadzi niezmordowaną walkę ze wschodnią zarazą.

„Dobra prasa" oprócz ulotek i plakatów od czasu do czasu wysyła w świat popularne broszury, które wszechstronnie oświetlają moralne i materjalne skutki bolszewickiej gospodarki.

Barwna okładka, niska cena (25 gr. za egzemplarz) umożliwiają wszystkim wykorzystanie tego środka propagandowego. Instytucje społeczne, organizacje zawodowe, ofiarne jednostki, dobrze zasłużą się sprawie publicznej jeśli te wydawnictwa kupować i w jaknajwiększej ilości rozsprzedawać będą.

Dotąd wydane zostały broszury: „Co to jest rewolucja", „Komunizm a kobieta", „Komunizm a dziecko", „Komunizm a rolnik", obecnie ukazała się nowa broszura „Komunizm a religja" i „Komunizm a robotnik", odwarzająca w sposób plastyczny walkę komunistów z największym skarbem człowieka—religją.

Wydawnictwo „Dobra Prasa" (Płock, Piekarska 5.) służy szczegółowemi informacjami i okazowe egzemplarze na każde żądanie pod wskazanym adresem nadeśle.

Skład w Warszawie, ul. Ogrodowa 23, m. 11a, Ks. A. Bogdański.

Potrzeba wielkich przykładów.

Pamięcią wielkich w narodzie ludzi
„Budzi się serce i krzepnie duch".

Te słowa poety najdosadniej określają znaczenie, jakie dla nas ma pamięć czynów ludzi zasłużonych, ludzi wielkich.

Czyny porywają — „toteż nauczyciele wszystkich czasów i narodów każą” przed oczyma całego społeczeństwa a zwłaszcza młodzieży stawiać żywe przykłady, stawiać żywoty tych, którzy na najrozmaitszych placówkach życia zbiorowego przyczynili się do pomnożenia moralnych i materjalnych dóbr narodu.

W okresie wytężonej pracy państwowotwórczej, w epoce rozbudowy Rzeczypospolitej, żywot wielkiego męża stanu, uczonego, przykład obywatela, który całe życie prawdą i pracą służył Ojczyźnie, jest i będzie najlepszą szkołą patrjotyzmu.

Trzeba więc wszystko uczynić, aby wielkie postacie wodzów duchowych narodu stały się bliskie całemu społeczeństwu, aby każdy stan na żywym przykładzie nauczył się jak dla Ojczyzny żyć, jak dla niej w potrzebie umierać należy.

Wrogowie naszego narodu, ci, którzy niezmordowanie pracują nad zniszczem najszlachetniejszych jego pierwiastków, narzucili cały szereg „bohaterów”, którzy byli i będą nam obcy. Tym pseudo-bohaterom, a częstokroć wielkim zbrodniarzom (Lenin) winniśmy przeciwstawić poczet naszych, jasnych, polskich duchów, zjednoczonych z nami więzami wiary i miłości. Musimy wydobyć z ukrycia postacie mało znane, zapomniane, zapoznane, a jednak zasłużone i połączyć je z tymi, których historja spopularyzowała i w pełnym blasku dostojeństwa i chwały przekazała potomności.

Pragnąc udostępnić szerokim warstwom społeczeństwa, a zwłaszcza młodzieży to poznanie prawdziwie wielkich duchów Polski, wydawnictwo „Dobra Prasa” (Płock) przystąpiło do wydawania specjalnej serji pod ogólnym tytułem *Żywoty Polaków i Polek dobrze zasłużonych Ojczyźnie*”. Każdy żywot stanowić będzie odrębny tom, zawierający obok dokładnego życiorysu podobiznę omawianej postaci. Pierwszy tom już się ukkzał i zawiera biografję wielkiego męża stanu, wzorowego kapłana, Kardynała Hozjusza.

Żywot Stanisława Hozjusza opracował były profesor uniwersytetu lubelskiego, a obecnie rektor Wyższego Seminarjum Duchownego w Płocku, Ks. dr. Józef Umiński, (ceniony autor kilku poważnych prac historycznych). Pod piórem autora postać Hozjusza nabiera kolorów życia i staje przed naszemi oczyma, jako wzór do naśladowania, jako ideał obywatela.

Żywot ten powinien znaleźć się w każdej bibljotece szkolnej i domowej, w książnicy stowarzyszeń, powinien trafić do szerszych mas. Niska cena (1 zł. 50 gr. za egzm. z przesyłką 1 zł. 65 gr.) umożliwia każdemu nabycie cennego dziełka.

Wkrótce ukażą się dalsze tomiki, które są w druku i opracowaniu. „Dobra Prasa" wyśle w świat żywoty: Jen. Zamoyskiej, arc. Cieplaka, Jana Matejki, St. Wyspiańskiego i wielu innych. Trzeba tylko, aby społeczeństwo poparło te usiłowania młodego wydawnictwa i przyczyniło się w ten sposób do obudzenia serc i pokrzepienia ducha w narodzie. *J.*

Wieś polska.

O wsi spokojna, o wiosko cicha,
Cało pierś moja tobą oddycha.
Wokoło łąki, pola i lasy...
Wsi polska, jakżeś pełna jest krasy!
Przy drodze chatki stoją rzędami,
Obok ogródki poza płotkami,
W ogródkach krzewy, zioła i kwiatki:
Porzeczki, róża, mięta i bratki.
Z boku krzyż stary schyla ramiona...
Bądź, wiosko moja, błogosławiona! H. J.

Zda mi się...

Zda mi się czasem, że z naszego sioła
Coś na mnie woła...
Jak gdyby ziemia, nasza rodzicielka
I żywicielka
Do swego łona przygarnąć mnie chciała,
K'sobie wzywała...
Zda mi się czasem, że z naszego sioła
Coś na mnie woła... H. J.

Katolicki esperanto-kongres w Holandji (Tilburg)

Tegoroczny zjazd członków IKUE: (INTERNACIA KATOLIKA UNUIGO ESPERANTISTA: międzynarodowy kat. związek esp.) odbędzie się od 12 do 15 sierpnia w Tilburgu. Jak przy zeszłorocznym kongresie obradowano nad ruchem społecznym w krajach katolickich — tematem obrad podczas X-a IKUE-kongreso w Paryżu i jedenastego międzynarodowego kongresu katolickich esperantystów było zagadnienie katolickiej prasy i opie-

ki nad młodzieżą (w Spa), tak obecnie przedmiotem obrad będzie: katolickie szkolnictwo w różnych krajach.

Uczestnicy 13-go kat. kongresu esp. pozatem praktycznie osobiście będą mieli sposobność zapoznać się z życiem —HOLANDIA docet — naszych ruchliwych współwyznawców. kat. stacja radjowa, katolicki uniwersytet.

Bliższe informacje podaje organ związku ESPERO KATOLIKA
55 Rue de Vaugirard, Paris VI, F-ino M. Larroche.
i miejscowy komitet: sinjoro P. Verspeek, sekretario-kasisto de
Loka Organiza Komitato de „Nia Dektria"
Broekhovensche Weg 100
Tilburg Nederlando.

Codziennie różnojęzyczni, różnonarodowi członkowie Kościoła Katolickiego będą brali udział w nabożeństwie ze śpiewem esp. i esp. kazaniem, wygłoszonem przez kapłanów francuskich, holenderskich i hiszpańskich... w języku wspólnym ESPERANTO.

Ks. P. Janik.

Wiadomości z kraju i zagranicy.

Z ruchu misyjnego. W dn. 10—13 sierpnia r. b. odbędzie się Tydzień Misyjny w Lowanjum (Belgja) rue des Recollets 11. pod kierownictwem OO. Jezuitów.

Zaraz potem na dn. 19—25 sierpnia organizuje się Międzynarodowy Akademicki Zjazd Misyjny we Fryburgu Niemieckim (Freiburg in Breisgau).

Zjazd Fryburski będzie wzorowany na Poznańskim Międzynarodowym Zjeździe Misyjnym w r. 1927. Między mówcami wystąpi znany u nas O. Charles T. J., z Polski O. Jacek Woroniecki, Dominikanin, profesor Uniwersytetu Lubelskiego.

Koszta dla obydwu Zjazdów 300 400 zł. Zgłoszenia przyjmuje Sekretarjat Misyjny, Poznań, Ostrów Tumski 1 i Ks. Turowski, Warszawa, Krakowskie Przedm. 71.

Kurs Misyjny na Uniwersytecie Lubelskim, urządzony staraniem Akadem. Koła Misyjn. w dn. 12, 13 maja r. b. (KAP). Pierwszy Kurs misyjny w Lublinie, urządzony staraniem Akademickiego Koła Misyjnego pod patronatem dziekana Wydziału Teologicznego O. prof. d-ra Jacka Wornieckiego, O. P.,—dzięki umiejętnemu rozplanowaniu referatów—dał uczestnikom jasny obraz tych prac i wysiłków, jakie wydobywa z siebie katolicyzm w walce o podbój przeszło miljarda dusz ludzkich, pogrążonych w ciemnościach pogaństwa. Przeważna część inteligencji polskiej nie wie, czy nie chce wiedzieć o tych sprawach, to też słusznie naczelny referat O. W. Turowskiego, Prowincjała XX. Pallotynów i sekretarza Jen. A. K. M. w Polsce, poświęcony był rozważaniom nad koniecznością zrozumienia dzieł krzewienia Wiary i wzięcia w nich udziału właśnie przez inteligencję. Praca kulturalna wśród pogan wznosi się na coraz wyższy poziom: obok szkół niższych i średnich powstał szereg uniwersytetów, szkół zawodowych itd.. na dystryktach misyjnych przybywają obok kościołów, szpitali, aptek, ochron i instytucje dla wyższej kultury ducha. Hamulcem w tej pracy jest brak sił odpowiednich, więc księży, lekarzy, inżynierów itp.

Wspomnieniom z pracy misyjnej na odległych terenach Chin i Kamerunu poświęcone były barwne odczyty OO. Wieczorka (Salezjanina) i Majewskiego. Dały one możność przyjrzenia się życiu i zwyczajom tamtejszej ludności, oraz zrozumienia, jak misjonarze w trudnej codziennej pracy z całą prostotą i pogodą ducha zdobywają gorącą miłość kolorowych wyznawców do nauki Chrystusa. Trudności finansowe pracy misyjnej przedstawił ks. H. Król C. M., dyrektor Dzieła św. Dziecięctwa z Krakowa, mówiąc o budżecie misyj. Wydatki na wykształcenie, przygotowanie i podróż misjonarzy, sióstr, braci zakonnych, lekarzy, oraz koszta utrzymania i budowy na obszarach misyjnych kościołów, kaplic, seminarjów, szkół itp. dają sumę przeszło 800 milonów lir. Z kolei ks dr. D. Kołpiński, profesor Instytutu Misyjnego w Lublinie tłómaczył zebranym potrzebę i zadania katolicyzmu na naszym najbliższym wschodzie, w Rosji, gdzie praca misyjna winna być przywróceniem tradycyj katolickich z przed czasów schyzmy Ks. prał. dr. Około-Kułak mówił również o konieczności promieniowania wpływów katolickich na Rosję; jest tam wprawdzie tylko 20% pogan, są jednak wyznania chrześcijańskie i w nienawiści do Boga wychowuje ludzi bolszewizm.

Oba te referaty zostały uzupełnione przez O. Woronieckiego, który przestawił plastycznie stan religijny ludów Syberji przed wojną i zadania obecne pracy katolickiej tamże.—Ks. prof. dr. J Dąbrowski streścił wyniki dotychczasowej pracy w dziele rozkrzewiania Wiary na terenie djecezji Lubelskiej, a ks. K. Lenczewski, stud. uniwers, uczcił w dokładnym życiorysie pamięć misjonarza ziemi lubelskiej z 17 wieku, O. Wojciecha Męcińskiego T. J. z Osmólic nad Wieprzem, co zostało następnie przez O. Woronieckiego ujęte we wniosek, dopraszający się u odpowiednich władz duchownych o wszczęcie na nowo procesu beatyfikacyjnego tego męczennika:

„Uczestnicy Pierwszego Kursu Misyjnego w Lublinie, po wysłuchaniu odczytu ks. Kaz. Lenczewskiego, stud. Uniwers., o bohaterskiem życiu O. Wojciecha Męcińskiego T. J. i jego męczeńskiej śmierci za wiarę, przekonani, że Jego Ojczyzna, a w szczególności województwo Lubelskie, które Go wydało, mają ścisły obowiązek gorliwie się zatroszczyć o wyniesienie tej pięknej postaci na ołtarze, przekonani również, że nic nie zachęci lepiej dzisiejszego pokolenia do gorliwego zajęcia się sprawą misyj, jak cześć okazana tym, którzy w minionych wiekach krew swą za nią przelali,—zwracają się z pokorną prośbą do Episkopatu Polski w szczególności do J.E. Ks. Biskupa Lubelskiego, w którego stolicy biskupiej O. Wojciech Męciński się wychował i to gorące pragnienie męczeństwa powziął, i J. E. ks. Biskupa Podlaskiego, w którego djecezji leżą Osmolice, jego miejsce urodzenia, by zechcieli łaskawie wziąć w swe ręce wznowienie rozpoczętego już w XVIII wieku procesu beatyfikacyjnego O. Antoniego Rubino i jego towarzyszy z Tow. Jezusowego, w których gronie jako gwiazda pierwszej wielkości błyszczy O. Wojciech Męciński, dziecko ziemi Lubelskiej"

Przemówienie J. Magnif. ks. rektora J. Kruszyńskiego podczas nabożeństwa w kaplicy uniwersyteckiej uwypukliło znaczenie działań misyjnych w chwili obecnej.

Naogół Kurs cieszył się dużem powodzeniem. Referaty wygłoszone spotkały się ze zrozumiałem zainteresowaniem. Lubelskie Akademickie Koło Misyjne organizując wspomniany Kurs zdawało sobie dokładnie sprawę, że znaczenie kursu misyjnego będzie polegało nietylko na uświadomieniu społeczeństwa miejscowego i młodzieży akademickiej, ale przedewszystkiem na posunięciu pracy naprzód.

Takim etapem ma być zawiązanie w najbliższym czasie Związku Misyjnego Polek.

Pożegnanie i wyjazd na misje polskich misjonarek i misjonarzy. (KAP). Do jedynej, powierzonej Polakom, a mianowicie polskim Jezuitom, samoistnej prefektury apostolskiej Brokenhill w południowej Afryce, wyjechali w dniu 30 kwietnia z Krakowa ojcowie Władysław Zabdyr, Stanisław Wawrzkiewicz, oraz bracia Józef Boroń, Wojciech Bulak, Józef Duda. Wyruszyła rownież z nimi pierwsza grupa polskich misjonarek ze

Zgromadzenia Służebniczek Najśw. Marji Panny, mających swój Dom macierzysty w Starejwsi pod Brzozowem, w djecezji przemyskiej. Wiele sióstr podało się na te misje, wybrane zaś zostały na pierwszy ogień do tej pracy nad murzyńskiemi dziewczętami siostry: Tekla Świrska, Zofja Mąciorówna, Marja Wiktorówna, Anna Wilkówna.

Kraków żegnał tych nowych bohaterów Chrystusowych, a nie mniej pomnożycieli chwały polskiego imienia wśród narodów, uroczystą akademją misyjną, uświetnioną serdecznem przemówieniem J. E. Ks. Biskupa Rosponda, oraz współudziałem wybitnych sił artystycznych z p. A. Szafrańską i p. Wallek-Walewskim na czele.

W dzień wyjazdu rano odprawił na intencję wyjeżdżających Mszę św. o. wicerektor Dzieduszycki i wręczył im krzyże misjonarskie, wieczorem zaś zebrało się liczne grono ojców i sióstr, a także życzliwych osób świeckich z delegacją Akademickiego Związku Misyjnego na dworcu krakowskim, by umilić ostatnie chwile żegnającym może już na zawsze ojczystą ziemię.

Władze polskie tak paszportowe, jak i celne okazały dużo pomocy i życzliwości.

Praca charytatyw a akademików. (KAP). W niedzielę, dn. 6 maja, odbyło się informacyjne zebranie, zwołane przez Komitet Młodzieży przy Duszpasterstwie Akademickiem, poświęcone sprawie omówienia idei i celów konferencji św. Wincentego.

Na zebranie przybyła licznie młodzież ze wszystkich prawie organizacyj katolickich akademików, jak również wielu niezorganizowanych; znamiennem też było przybycie akademickiej drużyny harcerskiej.

Przewodniczył zebraniu p. Olgierd Grzymała-Grzymałowski, Sekretarz Generalny Naczelnictwa Harcerstwa Polskiego.

Pierwszy zabrał głos p. M. K. Sobański, referując żywot i działalność św. Wincentego à Paulo. Mówca skreślił analogję między czasami dzisiejszemi a okresem po reformacji, w których żył św. Wincenty. Jego idee powinny przeniknąć szerokie rzesze inteligencji, zwłaszcza zaś młodzieży akademickiej.

Następny mówca p. Bogatkiewicz przedstawił postać Fryderyka Ozanama, wielkiego apostoła czasów nowożytnych, szermierza o wielkie zasady katolicyzmu i twórcy konferencji św. Wincentego.

Na zakończenie p. S. Mickiewicz przedstawił zebranym statuty oraz cele i metody pracy konferencji św. Wincentego.

Po referatach wywiązała się dyskusja: na zapytania odpowiadał przewodniczący Komitetu Młodzieży przy Duszpasterstwie Akademickiem, który też zawiadomił, że zebrania organizacyjne konferencji św. Wincentego odbędą się w niedzielę, 13 maja r. b.: męskiej — u ks. Szwejnica przy kościele akademickim św. Anny na Krakowskiem Przedmieściu o g. 10 m. 30, żeńskiej zaś u ks. Mauersbergera Senatorska 28, o g. 12 m. 30.

Zaznaczyć należy, że w zebraniu wzięli udział rektor kościoła akademickiego ks. Szwejnic i duszpasterz akademicki ks. Mauersberger.

Charytatywna działalność greko-unickiego duchowieństwa na Rusi Podkarpackiej. (KAP). Stosunki socjalne i zdrowotne na Rusi Podkarpackiej ciągle jeszcze wymagają reformy, a do niedawna były bardzo zaniedbane. Biskupi uniccy na wschodnej Słowacji i na Rusi Podkarpackiej zwrócili uwagę na tę gałąź działalności chrześcijańskiej i polecili swemu duchowieństwu zakładać wszędzie instytucje społeczno-charytatywne. Ministerstwo zdrowia publicznego odniosło się przychylnie do tych usiłowań i prosiło biskupów o zwrócenie uwagi duchowieństwa na współpracę z „Czerwonym Krzyżem”. Władze zadeklarowały przytem gotowość założenia specjalnych kursów, których zadaniem będzie dostarczyć księżom odpowiedniego wyszkolenia. Tak więc w dziedzinie tej doszło do współpracy władz państwowych i kościelnych dla dobra ludności.

Ze strony kościelnej powstanie związek „Stałej pomocy matkom”, który będzie organizował pracę charytatywną.

Nowy dom rodzinny dla studentek polskich w Paryżu. (KAP). Nowy dom Sióstr Najświętszej Rodziny z Nazaretu założony został w celach ułatwienia studentkom polskim w środowisku kulturalnem studjów zagranicą. Internat znajduje się w centrum Paryża: od 15-go czerwca r.b.— Paris VI, 49 rue de Vaugirard, naprzeciw ogrodu Luksemburskiego, blisko Sorbonne, Ecole des Hautes Etudes, College de France, Institut Catholique i innych wielkich uczelni.

Studentki obowiązane są mówić w domu tylko po francusku, na miejscu w domu mogą pobierać lekcji jezyków obcych, muzyki i t. d.

Pensjonat znajduje się pod opieką sióstr, zasłużonych na polu pracy pedagogicznej.

Swięty posiadaczem Legji Honorowej. (KAP). Mało osób wie, że francuska Legja Honorowa ma w szeregach swych członków także Świętego Świętym tym jest Jan Baptysta Vianney.

Niedawno 300 komadorów, oficerów i kawalerów Legji udało się w pielgrzymce do Ars, w celu uczczenia stuletniego jubileuszu Świętego posiadacza najwyzszej odznaki francuskiej.

Św. Jan Baptysta Vianney, proboszcz z Ars, odznaczony został krzyżem zasługi przez Napoleona III.

Na czele pielgrzymki kroczył Mgr. Herscher, arcybiskup z Laodicee najstarszy członek francuskiego Episkopatu.

SPRAWOZDANIA I RECENZJE.

Lebbe CM Histoires Chinoises. Secretariat de la Jeunesse Louvain Place du Peuple 29. — 3 fr. — 109 str. Właściwie... nie jesteśmy dokładni, albowiem W. O. Lebbe, sławny misjonarz chiński, Lazarysta, Belgijczyk rodem, **nie pisze!** Dowiadujemy się z przedmowy ślicznej książeczki, że opowiadania w niej zawarte, są stenografowaną relacją przyjaciół, pozatem wyzbierane z organu Effort, z Kalendarzy Lazarystów, i t. d. Dużo się mówi obecnie o Chinach, które przechodzą właśnie chwile przełomowe: Kraj zastygły w swych pojęciach lat tysięcy, Kraj — Kolos, (400 miljonów ludności) rusza się nagle do życia i to tego najmodniejszego. Może my nie zdajemy sobie sprawy ze znaczenia tego przebudzenia (por. dzieło O. Wathe: La Chine qui s' eveille) — znaczenia dla całego świata i dla Kraju samego. W książce, w sprawozdaniach O. Lebbe, pełnych wdzięku i poezji, oraz ukochania dla dusz, dalekich od Boga, widzimy psychologję charakteru Chińczyka, którym zajmuje się Kościół Katolicki jako Matka — dalekim jeszcze synem. O. Lebbe, który powrócił do Chin wraz z 6 wyświęconymi Biskupami chińskimi, wśród których znajdowali się **jego uczniowie**, zostawił w Europie trwałe dzieło, prowadzące dalej pracę Apostoła Chin, mianowicie Związek Studentów Chińczyków Katolików, Association d'Etudiants Catholiques Chinois, i ich Bulletin (Cena roczna 25 fr. belg.). Ojcu Lebbe bardzo o to chodzi, by studenci chińscy na uniwersytetach europejskich zapoznali się z wiarą i obyczajami katolickiemi, i o to, aby Katolicy zaopiekowali się młodzieżą azjatycką. **K. B.**

Semaine de Missiologie № 3. Les Elites en pays de Mission. Sprawozdanie z 5-go Tygodnia Misjologicznego w Lowanjum 1927. Louvain rue des Recollets 11. Museum Lessianum. — Dla pracowników misyjnych,którzy pragną mieć styczność z ruchem misyjnym zagranicznym, dzieło niniejsze jest niezbędnem w orjentowaniu się w najnowszych wydarzeniach dla dobra misyj podjętych. Lowanjum pracuje podług pewnego systemu, który się rozwija i wzbogacając naszą wiedzę misyjną, popiera akcję jaknajusilniej. Tydzień Misjologiczny, znany na całym świecie, w r. 1927 widział gości z Polski. Wyrażamy nadzieję, że udział ten nie ustanie, ale wzmoże się nadal, gdyż bardzo chodzi o Międzynarod. Współpracę w organizacjach misyjn. całego świata Katolickiego. Książka zawiera Sta-

tut Tygodnia Misjol., który nas zajmie. Treść cała składa się z wykładów ostatniego Zjazdu 1927 na temat wychowania w Krajach pogańskich Katolickiej inteligencji tubylczej. Wykłady te, to uwagi, spostrzeżenia i sprawozdania samychże misjonarzy, prawie wyłącznie. Teoretycy misjolodzy raczej słuchają i korzystają z tych materjałów dla wypracowania późniejszego pewnych metod pracy misyjnej, oraz budowania dalszej historji misyj katol. Konferencyj wszystkich jest 22, nie licząc dyskusji, której nie drukowano. Mimowoli nasuwa się myśl o Pamiętniku naszego Zjazdu Misyjnego w Poznaniu 1927, który ze względu na zagranicę będzie pewnie dwujęzyczny, tak samo jak Jednodniówka Zjazdu; Sprowadzając sobie wydawnictwa zagraniczne, pomyśleliśmy pewnie poprzedn o o zaopatrzeniu się w nasze własne, tak nam drogie i piękne. Świadczą bowiem o chlubnym wysiłku Polski dla sprawy misyjnej. Adr. Jedn. Księgarnia św. Wojciecha Poznań. Cena 5.50 zł. z przesyłką. **K. B.**

Acta V Conventus Velehradensis. 1927. Ołomuniec. Celem co trzyrocznych Zjazdów Unjonistycznych w Wielkim - grodzie p. Ołomuńcem w Czechosłowacji jest połączenie schizmatyków z Kościołem, mówiąc jeszcze dokładniej: studjum dla tego połączenia. Ostatni Zjazd odbył się r. 1927. Ukazał się Pamiętnik Sprawozdawczy Zjazdu. W Wielkim-grodzie (Velehgrad) spoczywają zwłoki Apostołów Słowian, śś. Cyryla i Metodego i fakt ten zadecydował o miejscu podobnych Zjazdów. Polska, z przyczyny swej stałej pracy dla Unji (rozumiemy przez nią złączenie się z Kościołem schizmatyków, a może i Luteranów, i in. odstępców, bez względu na obrządek) wobec swego wschodniego sąsiada, stanowi niemniej dogodny punkt dla podobnych Zjazdów, tembardziej, że dotąd nie znają w świecie historji, a nawet stanu aktualnego tych prac. W r. 1928 Zjazd Unjonistyczny sprasza więc gości do Polski. Komitet Zjazdu jest w Warszawie Mokotowska 14 Sekretarjat Biskupi. Dobrem przygotowaniem dla naszego Zjazdu będzie przestudjowanie sprawozdań wielkogrodzkich. Pisane sa po łacinie, prócz gazetowych artykułów w odnośnych oryginałach. Jest to piąty tom sprawozdawczy. Składa się z pięciu rozdziałów: 1 Przygotowania Zjazdu, 2 Historja Zjazdów, 3 Program Zj. 1927, Konferencje główne, 4 t. s. wykłady informacyjne, 5 Głosy o Zj. w prasie. W dodatku spis gości i indeks przedmiotów i osób. Na 300 uczestników w r 1927 przypadło 35 osób z Polski. Zjechali się nietylko Słowianie, ale także przedstawiciele rasy germańskiej i romańskiej, którzy to coraz intensywniej zajmują się Unją, zwłaszcza w kierunku naukowym. Może być, że najmniej wystąpili sami zainteresowani, powróceńcy, obecni w małej liczbie na Zj. albo i ci, których chcianoby sprawą zainteresować. Może nasz Zjazd wysunie do głosu i propozycyj pracowników najbliższych sprawie oraz samychże „Unjatów". Niechże pomagają do pozyskania, informowania swych schyzmatyckich współbraci. Nie można przypuścić, aby P. Bóg nie upatrzył wśród nich apostołów. Widzimy z wstępu książki, że Zjazdy Wielkogrodzkie cieszą się szczególnem poparciem Stolicy Apostolskiej. Zjazdy w Polsce niemniej mogłyby wejść w tradycję i interesować świat katolicki. Mamy swych naukowców — specjalistów, piszących często w językach obcych, (pisma i książki) i literaturę, którą sami znamy zbyt mało, a godną przedstawienia zaciekawionej nami zagranicy. Wśród czasopism figuruje rosyjska Kitież (Warszawa Mazowiecka 11 ks. prał. Około—Kułak) i ruskie: Duszpastyr, Błagowestnik, Lelija (dla młodzieży), Misionar, Zapyski Czisła św. Bazylego Wielkiego, Nasz Pryjatel. (O.O. Bazyljanie Żółkiew Małop. str. 204—205). Po spis książek, zakonów i towarzystw dla Unji należy się zgłosić m. in. do Sekretarjatu Misyjnego (Poznań Ostrów Tumski 1). Zjazd 1928 ma być kursem naukowym dla spraw Unji, dostępnym dla inteligencji. Przedpołudniowe wykłady naukowe mają się odbyć w języku łacińskim, popołudniowe sprawozdania w języku nowoczesnym. Między tematami kwestja prymatu Kościoła, wiara i Objawienie i t. d. Kurs pomyślany jest jako informacyjny. Podczas Kongresu wystawa literatury. Nie chodzi o manifestację, jaką był po części nasz Zjazd 1927 w Poznaniu, lecz o udział

pracowników, którzy przybywają na prelekcje, qui vellent non tantum audire sed et collaborare. Jednomyślność akcji pracowników, skądby nie byli, czy z Polski, Czechosłowacji, Jugosławji, Rumunji, Bułgarji i t. d., jest nieodzowną. Niech wszyscy wypowiedzą swe mniemania, doświadczenia dla porównania metod pracy. Należy prosić prawosławnych (str. 240—241)

Program Zj. 1927 rozpadał się na trzy działy: historyczny, dogmatyczny, liturgiczny. Chodziło o rozpatrzenie na tem tle jurydyzmu czyli formalizmu, zarzucanego katolikom przez Rosjan. W serji sprawozdań zainteresował wykład ks. bp. Przeździeckiego, organizatora Zj. 1928, i O. Dąbrowskiego S. J z Albertyna. Z prasy najciekawszy i charakterystyczny jest głos pana Gülden: Allgemeine Rundschau nr 34 r. 1927. „Przyznajmy w pokorze, lecz i z radością, że i my powinniśmy się uczyć, nie o schyźmie, lecz o Kościele Wschodu. Indywidualizm osłabia dążenia Unji. Stosunek narodowej odrębności i ponadnarodowej społeczności Kościelnej został zniszczony przez przeciągnięcie myśli narodowej aż do nacjonalizmu. Nieszczęsną przeszkodą dla dążeń Unji jest mieszanie spraw narodowych z Kościelnemi. Prawosławny Ukrainiec i większa część Rosjan z Północy (Nordrussen) odrzucają religię Polaka, ponieważ go nienawidzą, (jako takiego). Katolicyzm i polskość są dla niego dwa pojęcia o tem samem znaczeniu. Polityczne tarcia nawet między różnemi obrządkami odgrywają dla Unji rolę wielką i niebezpieczną", (str. 275.) „Odnosi się wrażenie, że w całej pracy unjonistycznej zainteresowani biorą za mało udziału Czy nie byłoby pożądanem, aby w sekcji dla spraw Rosji w Kongregacji Orjentalnej znajdował się także Rosjanin? Kongregacja Orjentalna w Rzymie jak i Instytut Orjentalny (tamże) zajęta jest prawie wyłącznie przez łacinników. (Nasi fachowcy polscy również nie figurują jako siły nauczające, co najwyżej, i to w bardzo nikłym procencie, jako uczniowie — przyp. rec) Dotąd, mimo wielkich zapotrzebowań Unji, rosyjski kapłan katolicki nie ma pola działania." str. 279. W dalszym ciągu wskazuje p. Gülden na potrzebę zużytkowania tych nowych sił dla literackiej i organizacyjnej pracy wśród swych rodaków. Zdaje się, co do nas, to niema łączności między Rosjanami a nami. Nie wiemy, co u nas robią, zwłaszcza pod względem religijnym. Słyszeliśmy, że brak w języku rosyjskim książek katolickich, z którychby przebywający u nas Rosjanie mogli poznać wiarę katolicką. Może właśnie nasz Zjazd przyczyni się do zbliżenis się Rosjan do Macierzy, przez załatwienie kilku praktycznych posunięć. Nie będą dla nas trudnemi, gdyż mamy sporo Rosjan we własnym kraju. Należy może ożywić działalność istniejących u nas towarzystw religijnych dla Unji, znaleźć platformę, na której możnaby z sobą przestawać, aby dążyć do porozumienia się religijnego, to znaczy dania sposobności poznania wiary św Dla wielu z emigrantów rosyjskich Polska może i ma być etapem, zbliżającym ich ku prawdzie, który może się nie wrócić. Oktawa modlitw dla Unji z Kościołem 18—25 stycznia nie powinna nam być obcą. Obchodzą ją na całym świecie. Może dotąd interesowaliśmy się za mało innowiercami, zwłaszcza słowiańskimi, jakich u siebie posiadamy. Pragnienie Kościoła, wola Ojca św., nasz własny duch apostolstwa, jaki w naszym narodzia tkwi, pchają nas do czynu Caritas Christi urget nos. W. O. Rafał Józef Kalinowski, Karmelita Bosy, którego przepiękny życiorys powinien się znaleźć w języku polskim, francuskim, a możliwie i rosyjskim na Zjeździe 1928, wskazuje nam, jako doświadczony „Sybirak", na sposoby pracy, które naszemu idealizmowi religijnemu bardzo odpowiadają. Wydanie polskie i francuskie biografji nabyć można u O O. Karmelitów w Krakowie Rakowicka 18. Cena Act wynosi 2 dollary. Adres: Ołomuniec. Salesianum. Życzymy książce powodzenia u nas, jako pracy pobratymczego, dzielnego narodu, który poprzez różne trudności kształci u siebie coraz silniej ducha katolickiego, ducha Rzymu, łączącego nas wszystkich.

K. Berkanówna.